



PLENUM ZARZĄDU GŁÓWNEGO POLSKIEGO TOWARZYSTWA LEKARSKIEGO

ŚREM 24 MAJ 2002



Šrem i šremigme u Rožnovie pod Radhoštěm (01.05-05.05.2002)

W numerze majowym:



Mój pierwszy egzamin 6



Z warsztatu architekta (V) 16



**POLSKIE TOWARZYSTWO
LEKARSKIE W ŚREMIE 8**



**Lektura w feministycznym
nastroju cz. 2..... 20**



**Pamięci J. Baiera
w pierwszą rocznicę śmierci 12**



**Józef Rufin Rogala
Wybicki (1747-1822) 24**



Wieści z ratusza

Młodzież dla środowiska

W styczniu wystartowała druga edycja akcji „Puszkobranie”. Swoją udział zgłosiło 19 placówek. Zasady i reguły konkursu są takie same, jak w poprzednim roku.

Przewidziano trzy nagrody główne: 2 tys., 1,5 tys. oraz 1 tysiąc złotych. Celem konkursu jest przede wszystkim wpojenie młodzieży idei racjonalnego gospodarowania odpadami.

Wyniki po dwóch miesiącach zbiórki są imponujące: zebrano ogółem 836,80 kg puszek. Jeśli chodzi o klasyfikację indywidualną-na prowadzenie wysunął się Dzienny Ośrodek Adaptacyjny, zwycięzca ubiegłorocznego konkursu.

Drugie miejsce zajmuje Szkoła Podstawowa w Nochowie. Ale to dopiero początek zmagani konkursowych, więc wszyscy uczestnicy mają duże szanse na zwycięstwo.

Uczestnik	II	III	Razem	L. uczn.	R
Dzienny Ośrodek Adaptacyjny	49	40,5	89,5	27	3,3
Przedszkole Nr 2	8,5	8,3	16,8	158	0,1
Przedszkole Nr 3 "Jarzębinka"	4,5	6,4	10,9	141	0,1
Przedszkole Nr 6	19,5	32,7	52,2	163	0,3
Przedszkole Nr 7	29	25,8	54,8	160	0,3
SP Nr 1	16	174,8	190,8	1093	0,2
SP Nr 4	5,5	44,2	49,7	741	0,1
SP Nr 6	55	100,3	155,3	868	0,2
SP Dąbrowa	11,5	0	11,5	60	0,2
SP Zbrudzewo	4,5	1,8	6,3	168	0,0
SP Krzyżanowo	25	0	25	92	0,3
SP Nochowo	35	51,1	86,1	115	0,7
SP Pysząca	8	3,7	11,7	122	0,1
SP Wyrzeka	17	7,4	24,4	81	0,3
Gimnazjum Nr 1	20	20,2	40,2	1219	0,0
Gimnazjum Nr 2	2,5	0	2,5	703	0,0
ZSE	2	0	2	657	0,0
ZSZ im. H.Cegielskiego	4,5	2,8	7,3	433	0,0
ZSZ im. S.Chudoby	0	0	0	998	0,0
Razem	317,0	519,8	836,8	7999	

Powyższa tabela ilustruje przebieg puszkobrania na koniec marca 2002 roku.

IV Targi Edukacyjne Śrem 2002

Wybór zawodu należy do najważniejszych, ale i najtrudniejszych decyzji w życiu każdego człowieka. Aby ułatwić młodym ludziom podjęcie tej decyzji, już po raz czwar-

ty z rzędu zorganizowano w Śremie Targi Edukacyjne Śrem 2002. Organizatorami tegorocznych targów byli: Urząd Miejski w Śremie, Powiatowy Urząd Pracy oraz Szkoła Podstawowa nr 1 im. Mikołaja Kopernika, a odbyły się one 14 kwietnia 2002r w budynku Szkoły Podstawowej nr 1.

Uroczystego otwarcia dokonał burmistrz Śremu Marek Basaj.

Głównym celem imprezy było zapoznanie uczniów oraz ich rodziców z ofertą edukacyjną, prezentowaną przez wyższe uczelnie, gimnazja i inne placówki edukacyjne.

Wśród wystawców należy wymienić:

- Zespół Szkół Ekonomicznych im. C. Ratajskiego w Śremie
- Liceum Ogólnokształcące im. gen. J. Wybickiego w Śremie
- Zespół Szkół Zawodowych im. St. Chudoby w Śremie
- Zespół Szkół Zawodowych im. H. Cegielskiego w Śremie
- Zespół Szkół Rolniczych w Grzybnie
- Ośrodek Kształcenia Zawodowego KACZMAREK w Śremie
- PKO S.A. w Śremie
- Państwowe Wydawnictwo Naukowe
- ZDZ w Poznaniu - Ośrodek Kształcenia w Śremie
- Poznańska Wyższa Szkoła Biznesu i Języków Obcych
- Poradnia Psychologiczno-Pedagogiczna w Śremie
- Powiatowy Urząd Pracy
- Uniwersytet im. A. Mickiewicza w Poznaniu
- Gimnazjum nr 1 w Śremie
- Gimnazjum nr 2 im. ks. Piotra Wawrzyniaka w Śremie
- Przychodnia Leczenia Uzależnień i Współuzależnień w Śremie
- Poznańska Szkoła Biznesu
- Publiczna Biblioteka Pedagogiczna w Poznaniu - Filia w Śremie

Ranga Targów Edukacyjnych wzrasta z roku na rok. Tegoroczne targi odwiedziło około 2000 osób. Rośnie również liczba wystawców.

Dla uatrakcyjnienia targów zapewniono oprawę artystyczną- przez cały czas przygrywał zespół muzyczny, zaprezentowała się też grupa teatralna „Profis” oraz zespół flażolecistów.

Goście z Bergen z wizytą w śremskim ratuszu

Z okazji konferencji „Polski rolnik w Unii Europejskiej”, która odbyła się 9 kwietnia 2002 roku w sali widowiskowej Odlewni Żeliwa, Śrem odwiedziła grupa rolników i radnych z niemieckiej gminy Bergen. W skład delegacji wchodziło 5 osób. W programie wizyty przewidziano w ratuszu spotkanie sołtysów gminy Śrem z gośćmi z Niemiec. Odbyło się ono w poniedziałek, 8 kwietnia. Goście podzielili się z przedstawicielami śremskiego rolnictwa wiedzą i doświadczeniami na temat korzyści płynących z przynależności do Unii Europejskiej.

Sołtysi wykorzystali możliwość rozmowy z niemieckimi rolnikami, którzy posiadają już praktykę w obcowaniu z przepisami i wymogami Unii.

Padło wiele pytań. Szczególne zainteresowanie budziły wysokości dopłat do produkcji rolnej, limity produkcyjne, a także ceny gruntu w Niemczech.

Punktem kulminacyjnym pobytu gości z Bergen był udział w konferencji „Polski rolnik w Unii Europejskiej”.

Wygospodarowano również czas na pokazanie delegacji z Niemiec atrakcji Śremu i jego okolic.

Zespół Gospodarki Gruntami informuje

W najbliższym czasie gmina planuje sprzedaż działek budowlanych, przeznaczonych pod budownictwo mieszkaniowe jednorodzinne wolnostojące. Przygotowano 7 działek budowlanych na

osiedlu mieszkaniowym we wsi Psarskie, a pierwszy przetarg jest przewidziany na maj bieżącego roku.

Przygotowano również działki budowlane przy ulicy Grottgera. Przewidywany termin pierwszego przetargu to czerwiec br.

Gmina Śrem posiada w ofercie do wolnej sprzedaży działki budowlane, przeznaczone na działalność handlowo-usługową we wsi Nachowo, a także przy ulicy Grottgera.

Trwają również przygotowania do sprzedaży w bieżącym roku nieruchomości przeznaczonych

na działalność gospodarczą w Śremie w sąsiedztwie ulic Kolejowej i Nabrzeżnej, przy zbiegu ulic Gostyńskiej i Rolnej, a także w sąsiedztwie ulic Staszica i Chłapowskiego.

Kontynuowana jest też bezprzetargowa wyprzedaż komunalnych lokali mieszkalnych na rzecz ich najemców. Sprzedają objęte są lokale mieszkalne w budynkach objętych przyjętym przez Radę Miejską programem gospodarowania mieszkaniowym zasobem gminy w latach 2002-2006. Do ceny sprzedaży stosowane są bonifikaty: 50% przy sprzedaży pojedynczego lokalu z jednorazową zapłatą oraz 80% przy zakupie lokali jednocześnie przez wszystkich najemców.

Szczegółowych informacji, dotyczących powyższych spraw udzielają pracownicy Zespołu Gospodarki Gruntami Urzędu Miejskiego w Śremie.

Eleonora CHABURA

Foto: Z. Szmidt



Burmistrz Marek Basaj, naczelnik Pionu Edukacji i Usług Społecznych Adam Lewandowski oraz przedstawiciele UAM: prof. dr hab. Jerzy Langer i prof. dr hab. Zygmunt Młynarczyk na stoisku Targów Edukacyjnych Śrem 2002.



spodarki Gruntami Urzędu Miejskiego w Śremie.



**Uchwała Nr 487/XLV/02
Rady Miejskiej w Śremie
z dnia 26 kwietnia 2002 r.**

w sprawie statutów sołectw gminy Śrem

Na podstawie art. 18 ust.2 pkt 7, art. 35 ust. 1 i art. 48 ust. 1 w związku z art. 40 ust. 2 pkt 1 ustawy z dnia 8 marca 1990r. o samorządzie gminnym (Dz. U. z 2001 r. Nr 142, poz. 1591 ze zmianami) Rada Miejska w Śremie uchwala, co następuje:

§ 1

Uchwala się statuty sołectw gminy Śrem, które stanowią załączniki nr 1-32 do niniejszej uchwały.

§ 2

Wykonanie uchwały powierza się Zarządowi Miejskiemu w Śremie.

§ 3

Traci moc uchwała Nr 242/XXXI/96 Rady Miejskiej w Śremie z dnia 12 grudnia 1996r. w sprawie statutów sołectw Gminy Śrem.

§ 4

Uchwała wchodzi w życie po upływie 14 dni od dnia ogłoszenia w Dzienniku Urzędowym Województwa Wielkopolskiego.

PRZEWODNICZĄCY RADY
Bolesław Wośkowiak

**Uchwała Nr 490/XLV/02
Rady Miejskiej w Śremie
z dnia 26 kwietnia 2002 roku**

o zmianie uchwały w sprawie procedury uchwalania budżetu.

Na podstawie art.53 ust. 1 ustawy z dnia 8 marca 1990 roku o samorządzie gminnym (Dz. U. z 2001 r. Nr 142, poz. 1591) Rada Miejska w Śremie uchwala, co następuje:

§ 1

W uchwale Nr 262/XXIV/2000 Rady Miejskiej w Śremie z dnia 31 maja 2000r. w sprawie procedury uchwalania budżetu, zmienionej uchwałą Nr 409/XXXVI/01 Rady Miejskiej w Śremie z dnia 28 czerwca 2001 r. o zmianie uchwały w sprawie procedury uchwalania budżetu, wprowadza się zmiany:

§ 20:

a) w ust. 2 skreśla się wyrazy:

„po uzyskaniu pozytywnej opinii Komisji Rewizyjnej”,

b) dodaje się ust. 3 w brzmieniu:

„3. Zarząd Miejski po uzyskaniu pozytywnej opinii Komisji Rewizyjnej może:

1) zmienić przeznaczenie dotacji celowych otrzymanych z budżetu państwa na realizację zadań własnych w zakresie do 15% planowanej kwoty dotacji,

2) dokonać zmiany przeznaczenia rezerwy celowej.”

§ 2

Wykonanie uchwały powierza się Zarządowi Miejskiemu w Śremie.

§ 3

1. Uchwała podlega opublikowaniu.

2. Uchwała wchodzi w życie z dniem podjęcia.

PRZEWODNICZĄCY RADY

Bolesław Wośkowiak

**Uzasadnienie
do uchwały Nr 490/XLV/02
Rady Miejskiej w Śremie
z dnia 26 kwietnia 2002 roku.**

o zmianie uchwały w sprawie procedury uchwalenia budżetu.

Wprowadzenie zmian do uchwały Nr 262/XXIV/2000 Rady Miejskiej w Śremie z dnia 31 maja 2000 r. oraz uchwały Nr 409/XXXVI/01 Rady Miejskiej w Śremie z dnia 28 czerwca 2001 r. spowodowane jest zapisami ustawy z dnia 14 listopada 2001 r. o zmianie ustawy o dochodach jednostek samorządu terytorialnego w latach 1999-2001 oraz niektórych innych ustaw (Dz. U. Nr 145, poz. 1623). Ustawa ta wprowadziła zapis o możliwości zmiany przez jednostki samorządu terytorialnego przeznaczenia dotacji celowych otrzymanych z budżetu państwa na realizację zadań własnych.

Jednocześnie dodała zapis w ustawie o finansach publicznych określając, że Zarząd Miejski po uzyskaniu pozytywnej opinii Komisji Rewizyjnej może dokonać zmiany przeznaczenia rezerwy celowej.

Ponadto Zarząd Miejski w toku wykonywania budżetu będzie mógł samodzielnie dokonywać zmian w planie dochodów i wydatków w zakresie dotacji celowych przekazywanych z budżetu państwa i innych jednostek samorządu terytorialnego, wydatków z rezerw budżetowych oraz zmian kwot subwencji w wyniku podziału rezerw.

W związku z powyższym podjęcie niniejszej uchwały jest uzasadnione.

PRZEWODNICZĄCY RADY

Bolesław Wośkowiak

**Uchwała Nr 492/XLV/02
Rady Miejskiej w Śremie
z dnia 26 kwietnia 2002 roku**

o zmianie uchwały w sprawie uchwalenia budżetu gminy Śrem na 2002 rok.

Na podstawie art. 18 ust. 2 pkt 4 ustawy z dnia 8 marca 1990 roku o samorządzie gminnym (Dz. U. z 2001 r. Nr 142, poz. 1591 ze zmianami) oraz art. 124 ustawy z dnia 26 listopada 1998 roku o finansach publicznych (Dz. U. Nr 155, poz. 1014 ze zmianami) Rada Miejska w Śremie uchwała, co następuje:

§ 1

(Treść szczegółowych zmian rzeczowych i kwotowych w uchwale budżetowej Gminy Śrem na 2002 rok).

§ 2

Wykonanie uchwały powierza się Zarządowi Miejskiemu w Śremie.

§ 3

Uchwała wchodzi w życie z dniem podjęcia.

§ 4

Uchwała podlega opublikowaniu.

PRZEWODNICZĄCY RADY

Bolesław Wośkowiak

Tekst, załączniki i uzasadnienia do uchwał XLV Sesji Rady Miejskiej z dnia 26 kwietnia 2002 roku do wglądu w siedzibie Urzędu Miejskiego.

Mój pierwszy egzamin

O tym, kim zostanie młody człowiek, gdy dorośnie i usamodzielnia się, decyduje przede wszystkim jego silna wola i wytrwała systematyczna praca. Jakiś wpływ na jego późniejsze losy mają też na przykład: pochodzenie, szczególne uzdolnienia i zainteresowania oraz spotkani ludzie. Zawód i pozycja finansowa często przekazywane są przez rodziców. Znane są wielopokoleniowe rodziny artystów, lekarzy, kupców, naukowców, leśników czy rolników. Przeskok młodzieńca czy dziewczyny obdarzonych szczególnymi uzdolnieniami do innego świata, znacznie oddalonego tradycją i zainteresowaniami od reszty rodziny dawniej zdarzał się rzadko. Możliwości awansu społecznego młodzieży ograniczone były zwłaszcza dostępem do szkół.

W dwudziestolecie międzywojennym stan oświaty w Wielkopolsce był dość mocno zróżnicowany. Na wsi postępowanie w zakresie budowy nowych szkół i zatrudniania nauczycieli, ze względu na trudności finansowe kraju, wkraczał bardzo powoli. Przeważały więc tam szkoły z jedną salą lekcyjną i jednym nauczycielem. Nauka odbywała się w czterech oddziałach, nazywanych później klasami – w klasach pierwszej i drugiej jeden rok, w trzeciej dwa lata, w czwartej trzy lata. Ukończenie czwartej klasy nie pozwalało na dalsze kształcenie, bo przyjęcie do gimnazjum warunkowane było posiadaniem świadectwa z klasy siódmej.

Ja przed napaścią hitlerowską na Polskę ukończyłem pierwszą klasę szkoły powszechnej w Bodzynie. Uczył nas wtedy zany nauczyciel Maćkowski, który był na wsi osobą bardzo ważną i szanowaną, a dzieci bały się go, bo nieposłusznym karał pozostawianiem w szkole po lekcjach, a potrafił też kijaszkiem złoć skórę. Uczyliśmy się od godziny jedenastej do pierwszej razem z klasą drugą. Nauka odbywała się w ten sposób, że obie klasy miały na przemian zajęcia głośne z nauczycielem oraz ciche – wtedy dzieci coś pisały albo liczyły w zeszytach.

Potem, w związku z zawieruchą wojenną, w nauce dorastającej młodzieży nastąpiła pięcioletnia przerwa. Zakaz normalnego kształcenia dzieci, jak również represje w stosunku do nauczycieli, były niewątpliwie jednymi z bardziej dotkliwych form gnębienia narodu polskiego przez okupanta. My, tzn. moje rodzeństwo, zachęceni przez rodziców, staraliśmy się jakoś pogłębiać wiedzę, głównie przez czytanie oraz rozwiązywanie zadań matematycznych. Po wojnie, to samokształcenie pomogło memu starszemu bratu Jurkowi – wówczas piętnastoletniemu młodzieńcowi – zdać egzamin wstępny do gimnazjum w Śre-

mie. Później ukończył on jeszcze liceum budowlane dla pracujących i szkołę inżynierską w Poznaniu. Pracował jako projektant w biurach projektów budownictwa przemysłowego.

Rodzice zawsze zachęcali nas do nauki i w miarę możliwości wspomagali w okresie kształcenia. Moje zainteresowanie nauką szczególnie popierali, bo byłem pilny i chętnie się uczyłem, a poza tym rozumieli, że jako chłopak drobny miałbym trudności w podolaniu ciężkiej pracy fizycznej. Zdawali sobie sprawę, że ludzie wyuczeni mieli pracę łatwiejszą. Starzy rolnicy, którzy całe życie ciężko harowali i rzadko odwiedzali lekarza, chodzili przecież zwykle skrzywieni i cierpiący.

W 1945 r. w Melpinie w pałacu należącym przed wojną do Unrugów otwarto szkołę zbiorczą, do której uczęszczały dzieci z okolicznych wsi. Od września 1945 r. uruchomiono klasę czwartą, a w kolejnych latach piątą i szóstą. Klasę siódmą zorganizowano dopiero w 1949 r. Melpin nie był zbyt atrakcyjnym miejscem dla nauczycieli chcących osiedlić się na stałe. Dlatego zmiany pedagogów następowały dość często, niekiedy w ciągu roku szkolnego. W pierwszych latach powojennych trwała swoista „wędrówka ludów” nauczycieli szukających lepszej posady. Przykładem może być pan Szeszuła, który przyszedł do Melpina prosto z wojny w angielskim mundurze wojskowym. Po roku pracy przeprowadził się do Dolska, a później został dyrektorem szkoły zawodowej w Śremie. Oprócz pana Szeszuły w Melpinie uczyli mnie nauczyciele: Szczerbiukówna, Walkowiak, Dziasek, Kaczmarek i Agnieszka Adamczyk. Ta ostatnia pani wyglądająca bardzo młodo, o spokojnym usposobieniu, chociaż uczyła mnie tylko kilka miesięcy, pozostała na długo w pamięci i jeszcze dziś wspominam ją z uznaniem i wdzięcznością.

Gdy już było wiadomo, że w Melpinie w następnym roku szkolnym nie będzie siódmej klasy, rodzice zastanawiali się, co robić, bym mógł kontynuować naukę. Rozważali umieszczenie mnie w innej szkole, np. w oddalonej o 15 km Turwi, dokąd wybraliśmy się z ojcem na „zwiady” rowerami. W końcu ojciec po rozmowie z panią Adamczyk zaproponował mi poddanie się egzaminowi eksternistycznemu z zakresu siódmej klasy. To rozwiązanie wydawało się optymalne ze względu na możliwość wcześniejszego o rok ukończenia szkoły podstawowej, co dla szesnastoletniego chłopaka miało duże znaczenie. W związku z krótkim terminem egzaminu należało jednak w ciągu półtora

miesiąca samemu „przerobić” dodatkowo program siódmej klasy.

Przygotowania mnie do egzaminu podjęła się pani Adamczyk. Nakreśliła mi program nauki ze wszystkich przedmiotów, omówiła zagadnienia najważniejsze, pożyczyła podręczniki i zachęciła do pracy. Najwięcej czasu zajmowało przygotowanie z języka polskiego, bo trzeba było przeczytać literaturę, głównie z okresu romantyzmu. Nauczycielka radziła też nauczyć się na pamięć inwokacji do „Pana Tadeusza”. Przez miesiąc nie tracąc czasu, systematycznie przerabiałem cały potrzebny materiał.

Egzamin odbył się 5 lipca 1947 r. w śremskiej szkole podstawowej nr 1 nad Wartą. Zdawała grupa młodzieńców (około dziesięciu), ja byłem wśród nich z wieku i wyglądu najmłodszy. Szanowna komisja egzaminacyjna, w skład której wchodziła pani Gumulówna i panowie Stochay, Tyśper i Jurga jako przewodniczący, kazała nam najpierw napisać wypracowanie z języka polskiego, następnie wyliczyć kilka zadań z matematyki. Później czekałmy, a komisja nasza zadania oceniła. Następnie byliśmy kolejno proszeni na egzamin ustny. Ja zdawałem jako ostatni – już po południu.

Pani Gumulówna – egzaminatorka z języka polskiego – poprosiła o scharakteryzowanie okresu romantyzmu w Polsce, a następnie skupiła się na Mickiewiczu, potem na „Panu Tadeuszu”. A że mnie ten poemat podczas czytania po prostu urzekł, więc ochoczo zabrałem się do odpowiedzi. Opowiadałem o losach bohaterów, o pięknych opisach zakątków przyrody i ówczesnych obyczajach. Wtedy odmalowane piórem poety sceny wydawały mi się zachwycające, chociaż dzisiaj na waśnie sąsiedzkie i burdy szlachty patrzę okiem bardziej krytycznym, a zastrzelenie „ostatniego niedźwiedzia na Litwie” uważam za zbiorowe przestępstwo. Nie obniża to oczywiście oceny samego poematu pełnego wspomnień i nostalgii. A jaki był stosunek mistrza do bohaterów epopei? Można się tylko domyslać, że w warcholstwie swych ziomek widział jakąś przywarę narodową, bo przez usta starego Maćka Dobrzyńskiego zdawał się ich upominać słowem „głupi”.

Podczas egzaminu zapytano mnie też, czy znam na pamięć jakiś fragment mickiewiczowskiego arcydzieła. Po-

plynęły więc strofy modlitwy poety do Świętej Panny Jasnogórskiej, Ostrobramskiej i Nowogrodzkiej – o pomoc dla utęsknionej duszy przy opisywaniu rodzinnych stron, gdzie w wiejskim krajobrazie przeważały pola porośnięte rozmaitym zbożem, gryką, dziesięliną (koniczyną) i świerzopem (przelotem). „Litwo, ojczyzno moja” – pisał Mickiewicz pięknym polskim językiem i naprawdę czuł się i Litwinem, i Polakiem. Pozostawiając przyszłym pokoleniom wspaniały poemat, prawdopodobnie nie wyobrażał sobie, że te dwa narody złączone dynastią Jagiellonów i unią lubelską, mogą się kiedyś rozdzielić.

Nawet zdenerwowanie – nieodłączny towarzysz egzaminów – nie mogło zakłócać zachwytu nad pięknem przeczytanego dzieła. Na pytanie z gramatyki, jak również pytania z innych przedmiotów odpowiedziałem w miarę pozytywnie. Wyshedłem więc z egzaminu z uczuciem dobrze spełnionego obowiązku i spokojnie czekałem na

ostateczny werdykt komisji. Inni, którzy wcześniej zdawali, a potem dłużej oczekiwali wyniku, byli bardziej zdenerwowani.

Przewodniczący komisji oznajmił w końcu, że wszyscy zdali. Komisja wzięła pod uwagę spowodowane wojną opóźnienia w nauce i nie chciała nikomu zamykać drogi do dalszego kształcenia się. Stwierdził też, że ja zdałem najlepiej. Na czternaście przedmiotów z trzynastu otrzymałem stopień dobry, a z języka polskiego – bardzo dobry. Była to jedyna bardzo dobra nota, jaką komisja przyznała w tym dniu. Dziś po wielu latach pozostało przeświadczenie, że osiągnięty wtedy wynik był owocem współpracy ucznia z doskonale prowadzącą go nauczycielką. Droga do dalszego zdobywania wiedzy była otwarta.

Później, w dalszych latach życia zdawałem jeszcze kilkadziesiąt egzaminów, podczas zaocznych studiów na Akademii Rolniczej w Poznaniu oraz w toku przewodów doktorskiego i habilitacyjnego w Instytucie Zootechniki i w Akademii Rolniczej w Krakowie. Potem jako pracownik naukowy Instytutu Zootechniki, opracowując publikacje naukowe, które oceniali surowi recenzenci, często miałem wrażenie, że piszę wypracowanie na kolejny egzamin.

Romuald OSTROWSKI
Foto: Zbigniew SZMIDT



Pałac w Melpinie

POLSKIE TOWARZYSTWO LEKARSKIE W ŚREMIE

Koło Polskiego Towarzystwa Lekarskiego założone w Śremie w 1964 roku przez dr Antoniego Paula, znakomitego chirurga, ówczesnego dyrektora szpitala, skupiało wówczas 16 osób.

Siedzibą Koła jest szpital w Śremie, ul. Chelmońskiego 1.

Zarząd: przewodnicząca – lek. med. Barbara Siwińska

z-ca przewodniczącej – lek. med. Ewa Kapała

sekretarz – lek. med. Janina Kowalówka

skarbnik – lek. med. Roman Graczyk.

W roku obecnym Koło liczy 155 członków, skupiając nie tylko lekarzy, mgr pielęgniarstwa, stomatologów, farmaceutów, biochemików z powiatu śremskiego, ale także tych, których reforma administracyjna pozostawiła poza granicami powiatu (Czempiń, Kórnik) oraz tych, którzy ze względów rodzinnych powrócili do Poznania.

Celem Towarzystwa, określanym jako towarzystwo wyższej użyteczności, między innymi jest: rozwijanie wiedzy i podnoszenie poziomu naukowego lekarzy, kształtowanie postaw społecznych i etycznych członków, krzewienie zasad deontologii lekarskiej, popularyzowanie wśród społeczeństwa zasad ochrony zdrowia publicznego. Praca w Kole jest czysto społeczna, przynależność dobrowolna.

Spotykamy się przeważnie raz w miesiącu, poza miesiącami wakacyjnymi, zawsze poza szpitalem, w godzinach wieczornych w muzeach, dworkach, zakładach pracy, ośrodkach wypoczynkowych, jednostce wojskowej, urzędach. Wykłady prowadzą naukowcy klinik poznańskich, wrocławskich, szczecińskich, a nawet z Warszawy. Nie zawsze mają tematykę lekarską; burmistrz, starosta czy ostatnio senator, zapoznają nas z ciekawymi problemami swojej działalności. Po wykładzie firmy farmaceutyczne prezentują swoje leki, a następnie, zależnie od sytuacji czy miejsca spotkania, organizujemy część towarzysko-wypoczynkową. W taki sposób dążymy do integracji lekarzy oraz bliższego poznania środowiska, w którym żyjemy i pracujemy.

Oto, jak przebiegały kolejne nasze spotkania w roku 2001.

– Odwiedziliśmy Śremski Ośrodek Sportu i Rekreacji – Hotel Sportowy. Wykładowcą był dr Krzysztof Niedzielin z kliniki szczecińskiej, a temat „Refluks żołądkowo-przełykowy”. Przedstawicielka firmy farmaceutycznej MEPHA mgr Paulina Rynek promowała lek *Gasec*. Pomimo mroźnej aury, frekwencja była bardzo duża. Nastrój dobry z uwagi na ciekawą tematykę i osobowość wykładowcy, który z pasją i interesującą przedstawił problem. Był to „dłusty czwartek”, zatem przyjacielskie rozmowy przy kolacji i pączkach przeciągnęły się do późnych godzin wieczornych.

– Spotkaliśmy się w Jednostce Wojskowej w Śremie. Zwiedziliśmy Izbę Pamięci – o dziejach wojska polskiego opowiadał płk Lechosław Buchnajzer. Na zakończenie zwiedzania dokonaliśmy wpisu w księdkę pamiątkowej. Przy wejściu na salę wykładową każdy uczestnik otrzymał doniczkę z kolorową prymulką. Była to nasza wiosenna niespodzianka. Wykładowcą był doc. dr hab. Andrzej Tykarski, a temat „Izolowane nadciśnienie skurczowe”, natomiast mgr Bogusław Bloch promował lek *Tertensif* firmy Servier. W podziękowaniu za miły nastrój i perfekcyjną organizację spotkania płk L. Buchnajzer otrzymał kosz z plecionej słomy z „zajacem” i żywność dla niego: marchew i kapustę. Pamiątkowe liczne zdjęcia oraz kolacja w kasynie była miłym akcentem podnoszącym nastrój.

– Na kolejne spotkanie zaprosiliśmy zaprzyjaźnione Koło PTL z Gostynia. Tym razem wybraliśmy się do Odlewni Żeliwa w Śremie. Towarzyszyła nam TV osiedlowa Relax oraz reporterzy gazet śremskich. Część wykładowa poprzedzona została zwiedzaniem odlewni, które odbyło się etapami, perfekcyjnie przygotowane przez prezesa T. Jurge. Każda grupa miała swego przewodnika, otrzymaliśmy kaski, i w takiej scenerii poznaliśmy trud pracy odlewnika. Większość kolegów widziała odlewnię po raz pierwszy w życiu. W części naukowej spotkania wykład miał prof. Jerzy Głuszek – „Nadciśnienie tętnicze

oporne na leczenie", natomiast lek. med. Lilla Tabaczyńska promowała *Prestarium* firmy Servier. Smutnym akcentem było uczczenie minutą ciszy zmarłego 23.04.2001 roku Jana Baiera, długoletniego dyrektora Kombinatu Rolniczego w Manieczkach, wielkiego przyjaciela służby zdrowia.

- Pierwszy dzień obchodzonych corocznie Dni Śremu stał się dla naszego Koła dniem wyjątkowym. Na zorganizowane w Domu Socjalnym w Manieczkach spotkanie przybył prezes Zarządu Głównego PTL prof. Jerzy Woy-Wojciechowski. Uczestniczyli w nim także dostojnicy śremscy: starosta, burmistrz, dyrektorzy zakładów pracy oraz ponad 100 członków Koła, a także profesorowie śremlanie: Wojciech Służewski i Zbigniew

Kwias. Piękny, bogaty w treści filozoficzny wykład „Aktualność przysięgi Hipokratesa u progu trzeciego tysiąclecia” pozostanie długo w pamięci. Zorganizowano także wystawę karykatur lekarza anestezjologa Ryszarda Zawadzkiego,



Foto: archiwum

a skomponowany przez profesora utwór „Kormorany” na trąbce grał neurolog Michał Ratajczak. Po wykładzie Profesor wpisywał indywidualne dedykacje nabywcom książki Jego autorstwa pt. „ZOO-z” opatrzonej zabawnymi rysunkami Lutczyzna. Koncert w wykonaniu profesjonalnych artystów z Poznania i śremlanina Sławomira Kramma oraz staropolska kolacja ze świniobiciem dopełniły całości. Dla naszego środowiska lekarskiego obecność prof. Jerzego Woy-Wojciechowskiego na naszej śremskiej ziemi była prawdziwym świętem. Nadmienić należy, że w prawie 40-letnich dziejach koła, tej rangi osoba, wielki autorytet lekarski, prezes ZG PTL, nigdy nie gościła na terenie Śremu. Efektem wysokiej oceny naszej pracy społecznej był Dyplom Uznania przyznany Barbarze Siwińskiej oraz całemu zarządowi „za tak aktywną wspierała działalność w szerzeniu wiedzy medycznej oraz integrację lekarzy ziemi śremskiej”.

- Jak co roku jesienią odwiedziliśmy Muzeum Śremskie w Śremie. Chętnie tam wracamy z uwagi na ciepłą, prawdziwie rodzinną atmosferę, jaką zapewniają dyrektor M. Kondziela i pani Barbara Jahns. Wystawa karykatur znakomitych karykaturzystów polskich oraz Ryszarda Zawadzkiego zaciekała zebranych. Wykład dr Grzegorza Biegańskiego „Aspekty etyczne przewlekłej terapii dzieci zakażonych HIV” poruszył słuchaczy. Okazało się, że Polska dysponuje pełnym zestawem kosztownych leków, troskliwą kadrą pielęgnarsko-lekarską, lecz leczenie tych dzieci często jest bezowocne z uwagi na środowisko, z którego pochodzą. Są to dzieci narkomanów, gruźlików, ludzi z marginesu społecznego, rumuńskie, w stosunku do których brak rozwiązań prawnych.

Mgr Radosław Krzyżański promował lek *Luivac*. Zwiedzaliśmy także wystawę o b r a z ó w Anny Filipkowskiej, którą malarka prezentowała osobiście.

- Spotkanie z senatorem dr Włod-

zimierzem Łękim odbyło się w Pałacu-domu Jerzego Mańkowskiego w Brodnicy. Zaprosiliśmy przedstawiciela starostwa Teodora Stępe, burmistrzów: Śremu - Marka Basaja, Dolska - Henryka Litka, Książa - Leszka Dudziaka, wójta gminy Brodnica - Leszka Flaczyńskiego oraz pika Lechosława Buchnajzera. Członkowie Koła przybyli tłumnie, była też obecna TV Relax oraz reporterzy gazet śremskich. Wykład senatora „Przeszłość i przyszłość Wielkopolski” był znakomity, oparty na wielkiej wiedzy oraz znajomości historii i geografii regionu. Senator przez 7 lat piastował godność wojewody poznańskiego, jest aktywnym działaczem PTTK i autorem lub współautorem ponad 50. publikacji i przewodników turystycznych. Dr Artur Strasburger promował nowości firmy Biofarm. Zorganizowano też wystawę i aukcję rzeźb S. Sierakowskiego - rzeźbiarza samouka ze Śremu.

- W Warszawie, w Klubie Lekarza, odbyło się Plenum Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Lekarskiego. Prezydium Zarządu zaprosiło dr Barbarę Siwińską na plenum w celu przedstawienia referatu: „Prezentacja działalności Koła w Śremie”. Było to jedyne z całej Polski koło prezentujące swój dorobek. Efekty naszej pracy spotkały się z aplauzem zebranych – otrzymali-

wał naszą wigilię. Wspaniałym akcentem okazał się występ Chóru Dziecięco – Młodzieżowego „Ziarenka” z Poznania. Młodzież, pod kierownictwem dyrygenta Doroty Czerwińskiej, przedstawiła program oszałamiający widzów wielką muzykalnością, żywiołowością i spontanicznością uczuć. Nie przypadkiem zespół jest laureatem wielu krajowych i zagranicznych konkursów. Do stołu



Foto: archiwum

śmy gratulacje. Promocja naszego środowiska lekarskiego, tym samym całego powiatu, ma zasięg ogólnopolski z uwagi na to, że w plenum brali udział delegaci z całego kraju. W godzinach popołudniowych uczestnicy plenum spotkali się w Łazienkach Królewskich w Pałacu na Wodzie, gdzie miała miejsce piękna, podniosła uroczystość wręczenia odznak PTL. Odznaki „Zasłużonemu – PTL” otrzymali: Janina Ochojska, Katarzyna Frank-Niemczycka, prof. M. Kwiatkowski, dr St. Burzyński (Houston, USA), wyróżnienie „Bene Meritus” otrzymali: Caritas Polska, realizatorzy serialu TV „Na dobre i na złe”, prof. J. Taton. Odznaczenie „Gloria Medicinae” przyznano dziesięciu wybitnym i zasłużonym profesorom, wśród których znalazł się prof. Zbigniew Mackiewicz, który w latach 1954-57 pracował w szpitalu w Śremie (obecnie Bydgoszcz).

- Tradycyjne spotkanie wigilijne, jak zazwyczaj w Domu Socjalnym w Manieczkach. Uroczystość rozpoczęła przewodnicząca relacją p.t. „Co nowego w Zarządzie Głównym PTL-u”. Następnie mgr Renata Plocyn, przedstawiciel firmy farmaceutycznej Glaxo Smith Kline promowała lek Serevent. Było to okazją, by podkreślić szczególne zasługi mgr Jacka Zawieruchy, przedstawiciela w/w firmy, który już szósty raz współorganizował

wigilijnego zasiadło 119 osób, w tym 10 gości honorowych. Gwiazdkowe prezenty dały uczestnikom wiele radości, ale największe emocje związane były z licytacją dziesięciu szopek. Uzyskaną znaczną kwotę pieniędzy przeznaczono na wsparcie akcji „Wigilijny talerz Śremu”, corocznie organizowanej przez Towarzystwo im. Brata Alberta dla ubogich i samotnych.

Maj 2002 będzie dla środowiska lekarskiego naszego koła miesiącem zupełnie wyjątkowym. 24 maja będziemy gospodarzem i organizatorem Plenum Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Lekarskiego. Jest to niebywale wyróżnienie naszego miasta i powiatu zważywszy, że przybędzie blisko 100 najznakomitszych lekarzy z całego kraju. Warto zaznaczyć, że Poznań nigdy nie dostąpił tego zaszczytu. Przywilej organizacji Plenum zawdzięczamy życzliwości Prezydium Zarządu, szczególnie – prof. Jerzemu Woy-Wojciechowskiemu. Z radością oczekujemy dostojnych gości.

Barbara SIWIŃSKA
Ryszard ZAWADZKI

P.S. Zarząd Koła dziękuje Koleżankom i Kolegom za niezmienne żywe zaangażowanie w pracach Towarzystwa. Udział w nich młodzieży lekarskiej budzi nadzieję na kontynuowanie szczytnych idei Polskiego Towarzystwa Lekarskiego.

List opublikowany w książce autorstwa Jana Baiera „Symbole rolniczej pracy 1939-1989”, POZNAŃ 1995 wydanej nakładem Związku Przedsiębiorców Rolnych w Poznaniu, w części „Listy do przyjaciół”.

Do Pani Barbary Siwińskiej!

Na śremskiej ziemi
Z medycyną zawsze bywało dobrze,
I choć epoki były zmienne,
Przetrwała idea dobrego lekarza
Co splendoru tej służbie przysparza.
Wybrana przez los nauka,
Stwarza szansę, aby znaleźć to czego człowiek szuka.
Pomoc bliźniemu na pierwszym miejscu,
I to każdemu przecież bez wyjątku.
Taką też rolę sprawuje Pani Barbara,
Od pierwszych dni Jej poznania.
Przeszła przez wszystkie szczeble
Lekarskiej hierarchii,
Asystenta i kierownika władzy wielkiej.
Dużo pomogła ludziom
Rolniczego trudu,
Umieszczając ich w szpitalu,
Wracała im ozdrowienie siły,
Dając szansę pracy na niwie ziemi.
Na uboczu nigdy nie stała
W Stowarzyszeniu lekarskim,
Objęła prezesurę
Wymyślając różne spotkania,
Bardzo dużo mając tu do powiedzenia.
Pod Jej ręką Stowarzyszenie się rozwija,
Udowadnia że w organizacji nie ma sobie równych,
Spotkało się wielu wymieniając poglądy,
Które zawsze twórcze zostawiały prądy.
Teraz w nowym szpitalu władzę mocno dzierży,
Stosując nowoczesną technikę,
Zdobywa ciągle wiedzę
By móc przeciw stawić się każdej chorobie.
Lubi samochody piękne widoki
Autostrady włoskie z Padwy do Wenecji,
Gdzie kiedy się jedzie nie ma żadnej protekcji.
Z Poznania do Szczecina ekspresem
To jakby do Gostynia ze Śremu i z powrotem.
Przyroda cieszy Ją każda,
W ogródku swoim daje temu wyraz,
Wznosi się nad kwiatami
Lubi wszystko co pochodzi z matki ziemi.

To wszystko prawda oczywista,
Jak i przyjaźń nasza bliska.
Za wszystko co zrobiłaś dla nas dziękujemy,
Bo z rolnikami trzeba żyć po dobremu.
I tak jak na fali życia
Ciągłe trzeba iść naprzód,
Unikać przykrych zjawisk
Lecz radować się zawsze razem
W kręgu swych dobrych Przyjaciół.

Z życzeniami wszystkiego dobrego
Jan Baier
Polanica, Manieczki 1.9.1992.

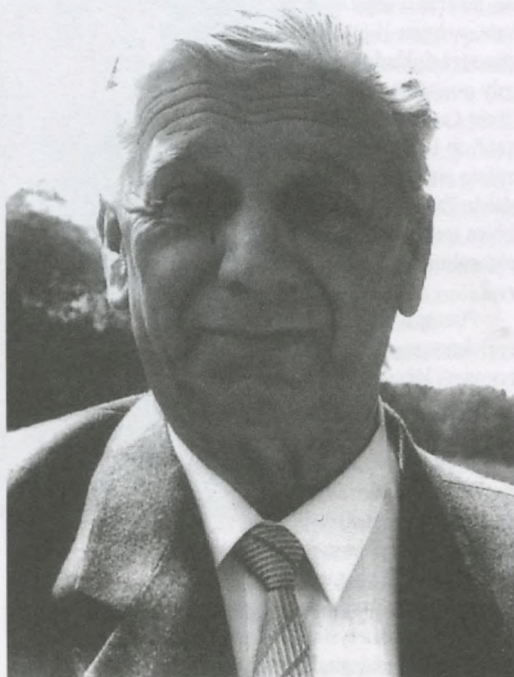


Foto: archiwum

Pamięci J. Baiera w pierwszą rocznicę śmierci

Drogi przyjacielu!

Wybacz, że dopiero po dziesięciu latach odpowiadam na Twój list, datowany 01.09.1992, zamieszczony w książce Twojego autorstwa „Symbole rolniczej pracy 1939-1989”.

Spacerowałam wczoraj po moim ulubionym, manieczkowskim parku. Oparłam się o pień potężnej, czarnej topoli, zasadzonej w 1960 roku. Upamiętnia powstanie pierwszego w Polsce kombinatu PGR.

Los sprawił, że podjęłam pierwszą w moim życiu pracę, lekarza w szpitalu w Śremie, w lipcu 1960 roku. To przecież dokładnie wówczas, gdy powstało dzieło Twego życia. Czy mogłam przypuszczać, że tak nierozzerwalnie spletną się czterdziestoletnie dzieje Twoje: rolnika po ojcu i ojca trzech synów inżynierów rolnictwa, i moje – lekarza?

Piszesz w liście, że „Rolnicy i lekarze to pokrewne towarzystwo”. Masz rację. Troska o człowieka była elementem, który przez te lata nas łączył. W latach 70. z własnej inicjatywy doprowadziłeś do budowy, uruchomiłeś, wyposażyłeś ośrodek zdrowia w Manieczkach, pomagałeś w budowie ośrodka zdrowia w Brodnicy, pomagałeś zawsze szpitalowi w Śremie. To są fakty, o tym wszyscy wiedzą. Z Twoich dobrodziejstw korzystali. Zastanawiam się jednak, czy setki, może tysiące hospitalizowanych z Twojego kombinatu pacjentów wiedzą o rozmowach telefonicznych i osobistych, które w ich sprawach przeprowadziłeś. Interesowałeś się

dosłownie każdym, niezależnie od tego, jaki zawód wykonywał, jaką funkcję pełnił. Szczególnie zabiegałeś o ciężko chorych z rodzin wielodzietnych, biednych, samotnych. Mówiłeś wówczas: „Barbaro, tam na drugim piętrze leży mój

człowiek, sprawdź czy czegoś nie potrzebuje”. Mówiłeś: „mój człowiek”, oni byli Twoi, także wtedy, gdy przeszedłeś na emeryturę. Pamiętam pukanie do drzwi dyżurki, spokojne, dostojne kroki, Twój proszący wzrok spod opadających nieco powiek – potrzebna recepta, lek dla ciężko chorej, samotnej, bylej pracownicy. Nieustrudzenie codziennie zabiegałeś o nich także wówczas, gdy sam walczyłeś z chorobą.

Czy można wyraźniej, a tak zwyczajnie okazać ludziom, że się ich umiłowało?

W okresie gdy straciłam swoich najbliższych, nie było tygodnia, by w słuchawce telefonu nie zabrzmiał Twój głos. Czy muszę Ci tłumaczyć, ile te kilka słów było dla mnie wówczas warty? Nie byłam wyjątkiem. Obdarowałeś swą życzliwością i troską bardzo szerokie grono przyjaciół.

Nasze Koło Polskiego Towarzystwa Lekarskiego zało-

żone w 1964 przez dr Antoniego Paula, ówczesnego dyrektora szpitala w Śremie gościło Cię na comiesięcznych spotkaniach niejednokrotnie. Uczestniczyłeś we wszystkich szczególnie ważnych wydarzeniach środowiska lekarskiego, także w czasie obchodów 30-lecia istnienia koła uroczyste obchodzonego w Zamku Kórnickim. Dodawałeś im blasku nie tylko swoją obecnością, ale żyłeś naszymi pro-



Foto: archiwum

blemami, wspierałeś je. Byłeś gościem honorowym, ale zawsze z wielką uwagą i cierpliwie wysłuchiwałeś profesjonalnych wykładów. Dyskutowałeś, a nawet proponowałeś tematykę. To z Twojej inicjatywy poświęciliśmy jedno ze spotkań, wspólnie z lekarzami weterynarii, zagadnieniu: „współistnienie białaczek u bydła i ludzi”. Profesor Julian Aleksandrowicz, hematolog zajmujący się tym problemem w regionie krakowskim, tak powiedział: „długo, właściwie przez całe życie uczyłem się od innych”.

Zastanawiałam się teraz, spacerując moją ulubioną aleją kasztanową, czego Ty nas nauczyłeś? Odpowiadam krótko: umiłowania ludzi i ziemi.

Użycałeś nam, lekarzom z całego powiatu gościny nieodpłatnie. Poznaliśmy w ten sposób kolejno, przez Ciebie restaurowane dworki i pałace: Przylepki, Sowiniec, Brodnicę, Krzyżanowo, Błociszewo, ale najczęściej bywaliśmy w Manieczkach.

Wchodzę teraz po stromych schodach do domu socjalnego. Tradycją stały się organizowane tutaj nasze spotkania wigilijne – ostatnie razem z Tobą w 2000 roku. Pamiętasz: wspólne, ponad stu osób łamanie się opłatkiem i moje, skierowane do wszystkich, cytujące poetę słowa:

„Podaj rękę,
jak chleb na zgodę
szczerze,

niech z oczu
spłynie Ci sól.

Ciasto rozczynimy
chlebne i wierze,

Że utoczmy bochen na wspólny braterski stół”.

O ten bochen i braterski stół zabiegałeś przez całe swoje życie.

Długi rząd książek, broszur, prospektów Twojego autorstwa znajduje się na górnej półce w mojej biblioteczce. Przeglądałam je. Prawie z każdej wypada widokówka, zdjęcie, pogodynka. Właśnie – pogodynki – te prognozy pogody na następny rok: wydawałeś je w formie żartobliwej, ale ileż zawierały życiowej prawdy i rolniczego doświadczenia. Na przykład ta XVI-ta Edycja z 1997 roku. Piszesz w niej „... w rolniczym stanie musicie pozostać wierni Ziemi i żyć w zgodzie ze słońcem, deszczem, śniegiem. Inni nam nie pomogą, ja ci radzę pomóż sobie sam”. A

pamiętasz dedykację napisaną Twoją ręką w książce „Wielkopolscy rolnicy 1946-2000”? Brzmi tak: „Droga Barbaro! Zapewne rolnikiem nigdy nie będziesz, ale jesteś skazana na ich obecność i przyjaźń. Dziękuję za wszystko. Janek Baier – Manieczki 19.10.2000 Rok Jubileuszowy”. Skazana? Ależ ja jestem dumna z tego, że Ty – człowiek wielkiego formatu obdarowałeś mnie swą przyjaźnią!

Utrwalałeś wydarzenia, otoczenie – fotografując. Liczne albumy w twoim gabinecie, które nieraz przeglądałam, były przez Ciebie pracownice i skrupulatnie opisane. Na zdjęciach dominują obrazy przyrody, aleje klonów, dwustu-letnie lipy, kępy jałowców, skupiny olszyn, urokliwe oczka wodne. Stoi na moim biurku wykonane przez Ciebie zdjęcie. Przedstawia piękną, brzożową aleję w Manieczkach. Tak – to Twoja ostatnia droga. Ale nie odszedłeś!

Żyjesz w pamięci tysięcy ludzi, Twoich współpracowników, ich rodzin, dla których byłeś nie tylko dyrektorem, ale także wzorem człowieka, powiernikiem, ojcem.

Żyjesz w sercach przyjaciół, dla których zawsze miałeś czas, potrafiłeś być wspaniałą podporą, wykazując niezwykłą energię, ofiarność, bezinteresowność, pomyślność, życzliwość.

Żyjesz w licznych dworkach, pałacach, pomnikach przyrody, które pieczołowicie odrestaurowałeś, ochraniałeś, ocaliłeś od zapomnienia.

Żyjesz w kilkudziesięciu broszurach, książkach Twojego autorstwa, w których tak ciepło, z wielką znajomością rzeczy, opisywałeś dzieje rolnictwa.

Żyjesz życiem ludzi, których wyszkoliłeś, nauczyłeś zawodu, szacunku do pracy, ziemi, którym wszczepiłeś twórczą pasję.

Przez całe życie dawałeś siebie innym. Jan Paweł II powiedział: „Człowiek jest wielki nie przez to co ma, nie przez to kim jest, lecz przez to czym dzieli się z innymi”.

Czy pozwoliś Przyjacielu, bym do końca swoich dni była Twoim adwokatem?

Barbara SIWIŃSKA
Śrem, marzec 2002r.

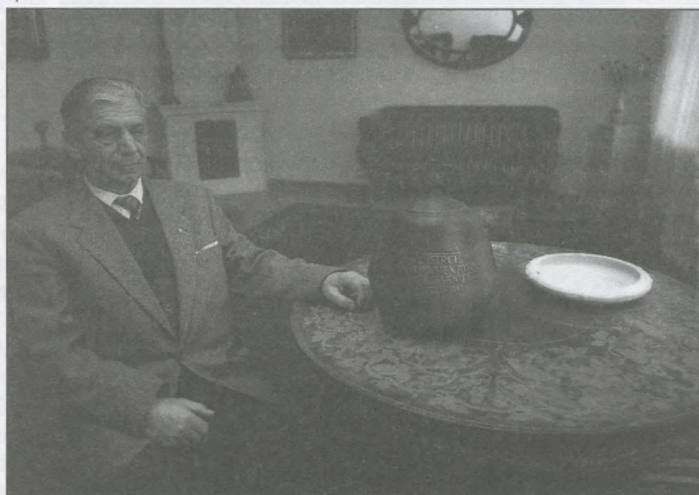


Foto: archiwum

„NIE UMIERA TEN KTO TRWA W PAMIĘCI ŻYWYCH”

Droga Przyjaciółko!

Dzień Zmartwychwstania – radość z Chwały Pana – ALLELUIA! To właśnie w takiej atmosferze dostałem Twój list. Serdeczne dzięki.

Wkrótce minie rok od momentu przejścia ze strefy światła na stronę ciszy i stałej ciemności. A jednak została po mnie wieczna pamięć i nadal trwa wśród Was – przyjaciół, kolegów, rodziny, współpracowników. Pytacie zapewne:

„dlaczego Człowiek umarł, kończąc żywota znój, pękła nić życia poczęta z chwilą narodzenia, zwijana w rytm wydarzeń, skłębiona w zagubienia wyniosłych czynów, przedziwnych spłotów wysiłku, twórczej pracy, upadków lub kłopotów.... Skończyło się żywe słowo i myśli płatanie układ planów na dzisiaj, jutro, najbliższe spotkanie...”

To trwanie w waszej pamięci – nie tylko w myślach, słowie ale i piśmie, pozwoli stworzyć w tak liczny gronie swoisty „przewodnik” po moich śladach życiowych, które zaprowadzą Was do stron rodzinnych, wielu miejscowości, gdzie się wychowałem, uczyłem, pracowałem, odpoczywałem, a w końcu na... miejsce wiecznego spoczynku.

Janek

Tak pisałby Janek-nasz wspólny przyjaciel. Dziękuję i ja za Pani korespondencję, która wzbogaci wspomnienia pt. „Śladami Jana Baiera z Manieczek”.

Powyższy list napisał do Barbary Siwińskiej Włodzimierz KRAUPE, emerytowany przedstawiciel Wydziału Zootechnicznego AR do Zarządu Stowarzyszenia Absolwentów AR, jednocześnie

inicjator wyrażenia szacunku a jednocześnie podziękowania za twórczą działalność Jana Baiera poprzez książkowe opublikowanie wspomnień przyjaciół. Pan W. Kraupe zbiera nadsyłane wspomnienia i przygotowuje je do druku.

W dniu 27.04.2002 roku miały miejsce uroczystości w pierwszą rocznicę śmierci Jana Baiera. Zorganizowano sesję na temat życia i działalności twórcy kombinatu PGR Manieczki. Przed pałacem i w jego wnętrzu odsłonięto dwie tablice pamiątkowe. W uroczystościach uczestniczyli: członkowie Stowarzyszenia Miłośników Mazurka Dąbrowskiego, Stowarzyszenia Absolwentów Akademii Rolniczej w Poznaniu, Stowarzyszenia

Inżynierów i Techników Rolnictwa, władze miejskie Śremu, powiatu śremskiego i województwa wielkopolskiego.

Przybył senator Włodzimierz Łęcki, liczne delegacje i poczty sztandarowe oraz Kompania Honorowa śremskiej jednostki wojskowej. Pamięć Jana Baiera uczciła rzesza przyjaciół i znajomych.

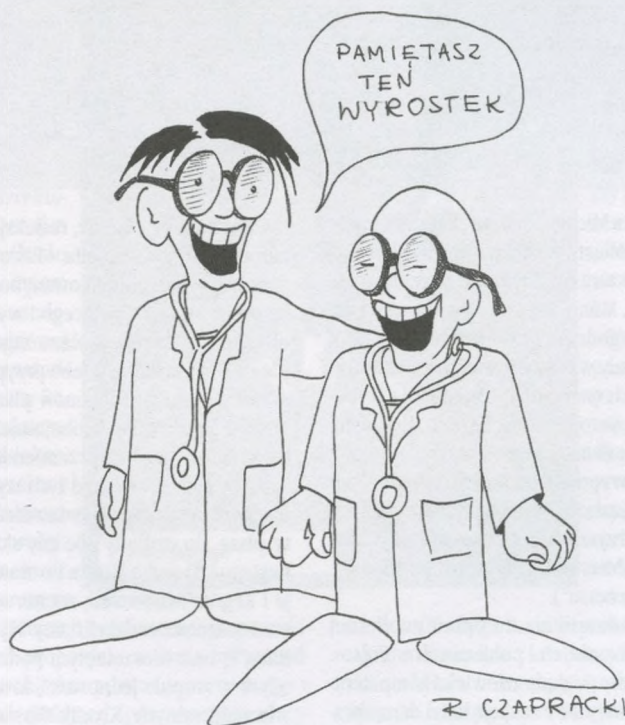


Foto: J. Baier

Felieton niemedyczny

Dziwnie się składa, że w okresie przesilenia wiosennego (kiedy możliwe są dość istotne wahania stanu zdrowia zarówno fizycznego, jak i psychicznego) – właśnie wtedy w Śremie dzieje się bardzo wiele. A to jakieś wycieczki, rajdy, a to święta szkół (no – chociażby szczególnie mi bliski Rajd Zespołu Szkół Zawodowych im. S. Chudoby i huczne, uroczyste jego podsumowanie połączone kosztowaniem potraw przygotowanych na egzamin zawodowy przez kucharzy kończących szkołę – pycha!!!). Nie dość na tym. Ledwie skończy się kwiecień, ŚOK zorganizuje zapewne koncert z okazji 3-go Maja. A kilka dni później biedni maturzyści zmuszeni przez bezlitosną tradycję przystąpią do zmagania podczas swojego pierwszego egzaminu życia. Nie wspomnę o innych kwietniowo-majowych „atrakcjach” czyhających na współczesnego śremianina, który z przeżeniem czeka na dalszy rozwój wypadków. Bo przecież wymienione imprezy kosztują sporo tak cennego w tym okresie wycieńczenia organizmów wysiłku – nie tylko od organizatorów.

Dobrze się więc składa, że w tym trudnym dla nas czasie będziemy mieć w Śremie dość spore zagęszczenie (więcej niż zwykle) lekarzy. Odbędzie się tu bowiem – jak wiadomo – zjazd Polskiego Towarzystwa Lekarskiego. Goście przybędą do nas – jak również wiadomo – nie ze względu na szczególnie ostre objawy wiosennego przesilenia u śremian. (Ich obecność stanowi jednak dodatkową gwarancję bezpieczeństwa.)



Ten zjazd można bowiem potraktować jako ukłon w stronę śremskich eskulapów z eskulapem p. dr Barbarą Siwińską na czele.

Domyślam się jednak, że statystyczny śremianin nie wyzbędzie się swoich kwietniowo-majowych lęków. Dlaczego? Ponieważ nie dowie się o lekarzach... A jeśli się dowie – to dopiero po ich wyjeździe, co powiększy jeszcze jego frustrację.

Ale gdyby odbył się u nas np. ogólnopolski zjazd kominiarzy, spadochroniarzy,

właścicieli jamników, kolekcjonerów kart telefonicznych, znaczków, kapsli, guzików, opakowań od czekolad, porcelanowych figurek słoni – z uroczystym przemarszem przez miasto – o! Wtedy my, śremianie rozmawialibyśmy o tym ze swoimi rodzinami przez cały tydzień przy kolacjach.

Każde więc medialne zaistnienie lekarskiej elity (przykładem tego jest trzymany przez Państwa numer „Gazety Śremskiej”) traktuję nie jako publiczną przechwałkę, ale przede wszystkim jako przejaw solidarności ze śremianami (nie tylko podczas wiosennego przesilenia).

Andrzej TOMASZEWSKI

Z warsztatu architekta (v)

LATA 1956-1970 „OKRES GOMUŁKOWSKI”

POTRZEBY LUDZKIE SĄ ROZMAITE. I SZEROKO IDĄ. MOŻNA JEDNAK USTALIĆ – W PRZYBLIŻENIU – POTRZEBY PRZECIĘTNEJ JEDNOSTKI ZWŁASZCZA DZIŚ. KIEDY WSZYSCY SCHODZIMY POWOLI NA JEDEN POZIOM. NAJWAŻNIEJSZE Z TYCH POTRZEB SĄ TRZY: MIESZKANIA, POŻYWIENIA I ODZIEDZENIA – ALE NIE JEDYNE... CZŁOWIEK NIE JEST TYLKO CIAŁEM. JEST TAKŻE DUCHEM. JEST OSOBĄ. JEST CZYMS NIEPOWTARZALNYM, MA SWOJE WŁASNE ODREBNOSCI I CELE, JEST PANEM SIEBIE, JEST TWÓRCĄ SWEGO LOSU. I PRZEZ TO DECYDUJE O KIERUNKU ŻYCIA ZBIOROWEGO, W KTÓRYM BIERZE UDZIAŁ. MUSI WIĘC MIEĆ SWOBODNY ODDECH, WOLNOŚĆ TWÓRCZOŚCI, WOLNOŚĆ TROSKI O SIEBIE I O SWOICH. TO POTRZEBY SZEROKIE. JAKIE? W ZAKRESIE ROZWOJU PRZYRODZONYCH UZDOLNIEŃ, ŻYCIA SPOŁECZNEGO I TOWARZYSKIEGO, WYPOCZYNKU, ZABEZPIECZENIA PRZYSZŁOŚCI RODZINIE NA OKRES WYPADKÓW ITD. SĄ TO WIĘC POTRZEBY FIZYCZNE I DUCHOWE, INDYWIDUALNE I SPOŁECZNE, OSOBISTE I RODZINNE... A W JAKIM STOPNIU WINNY BYĆ ZASPOKAJANE? („WOBEĆ NOWEGO CZASU” – Z PUBLICYSTYKI 1945-1950, KS. JAN PIWOWARCZYK KRAKÓW 1985)

Artykuł dziennikarza Michała Bauera „Rataje, a miało być inaczej” w Kronice Miasta Poznania nr 1998/1 przewodził znowu milczeniu, która otaczała nas „więźniów systemu” od lat trzydziestu. Mimo, że zawiera wiele nieścisłości został opublikowany zgodnie z prawem prasowym. Mój Boże, czyżby obowiązywały w Polsce również prawa autorskie dla architektów i ich twórczości? Skoro moja wypowiedź nie pomieściła się w tomie KMP 1998/1 „Budownictwie i Architekci”, uznałem, że mam okazję ustosunkować się do niektórych wypowiedzi moich wspaniałych kolegów, aby wywołać „załączek” dyskusji środowiskowej na temat przeszłości i przyszłości naszego miasta Poznania. (Jerzy Buszkiewicz „Miasto zmarnowanych szans”, Jacek May „Żal straconego czasu”).

Nie widać jednak odniesienia do opinii publicznej poważnych debat intelektualnych i publicznych w Polsce. A przecież w tym rzecz, aby poglądy człowieka kompetentnego i odważnego spotykały się z reakcją ludzi daną sprawą zaciekawionych. Chętni do prowadzenia dysput muszą mieć poczucie, że ich głos dotrze do opinii publicznej. Dla zaistnienia jakże pożądanego debaty potrzebne jest otwarcie redakcji kulturalnych na naprawdę świeży myślenie. „Intelektualiści przyzwyczajeni do poglądów uznanych i nie uznanych mają trudności z przyzwyczajaniem się do wolności słowa. Do tego dochodzi często złamanie odwagi intelektualnej przez uprawianie serwilizmu przez 45 lat”.

(cyt. Konrad Szymański „Życie” z dnia 18 marca 1998 r.).

Zapewne te uwagi były przyczyną odrzucenia, zamówionego wcześniej przez redakcję Kroniki Miasta Pozna-

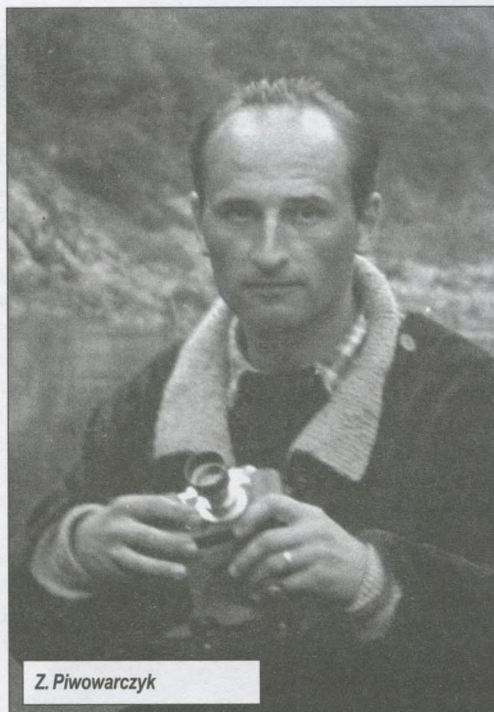
nia artykułu pt. „Rataje, refleksje po czterdziestu latach” autorstwa Regina Pawuła – Piwowarczyk i Zdzisław Piwowarczyk. W nie opublikowanym artykule podjęliśmy próbę oceny stanu istniejącego i wysunęliśmy wnioski o konieczności weryfikacji planu zagospodarowania dzielnicy Rataje. Uważamy, że trzeba przypomnieć i naświetlić nasz punkt widzenia problemów planowania przestrzennego miasta, gdyż pamięcią obejmujemy trochę dłuższy okres czasu i zachodzących przemian historycznych.

Abym pozostawić ślad tych wydarzeń piszę wspomnienie, może ukażą się w wydawnictwie książkowym? Niestety, piszę „do szuflady”, bo gdy ukazała się po trzech latach następna Kronika Miasta Poznania KMP 2001/3 pt. „Rataje i Żegrze”, znowu się zdenerwowałem – komentarzem pani sekretarz redakcji: „Czy Wy coś projektowaliście dla Rataj?”; oraz nierzetelnym podaniem faktów w artykule „Cyryk w zespole jednostek”, kronikę Ratajską na podstawie archiwalnych „Kronik Miasta Poznania” spisała Danuta Książkiewicz – Bartkowiak. Nieścisłości – a właściwie „duby smalone” piszą na temat powstawania dzielnicy Rataje, nazywając je bez sensu „osiedlem Rataje”, różni „smarkacze” gromiąc dawne czasy, nie rozumiejąc okoliczności, których dzisiaj nikt nie podnosi – bo się ciągle boi powiedzieć prawdę o czasach gomulkowski, a w Poznaniu o czasach Jerzego Kusiaka (Przewodniczącego MRN) i Jana Szydłaka (Pierwszego Sekretarza PZPR). A nuż wrócić czasy jedynie słusznej idei i partii, co dalej z resztą życia i kariery?

Były to trudne czasy – można się było bardzo starać, spełniać wymogi zawodowe, wykonywać trudne zadania,

ale nie można było być samodzielnym nie należąc do partii. W poznańskim budownictwie tego okresu rządziła mafia, z opanowaniem kierownictwa przez członków PZPR, a dalej w górę Komitet Wojewódzki. Otrzymywałem ciosy – nie jeden – po każdym się podnosiłem, ale w miarę ilości ciosów coraz wolniej i z dużym trudem: z trudem bo miałem duże zobowiązania rodzinne, mieszkanie i utrzymanie kilku osób, kształcenie dzieci, wakacje i weekendy, utrzymanie samochodu.

Wyrzucenie z pracy, dokonane w pracowni „Rataje – Miastoprojekt” w grudniu 1963 r., po wykonaniu przez autorów 5-letniej pracy, po zatwierdzeniu planów urbanistycznych i systemu uprzemysłowionego budownictwa mieszkaniowego dla dzielnicy było decyzją polityczną, „wilczym biletem”. Zmowa Ryszarda Karłowicza z Jurkiem Schmidtem i dyrektorem Miastoprojektu Jerzym Brązertem doprowadziła do zwolnienia nas z pracy z dniem 30 marca 1963 roku, z ustaleniem, że do pracy projektowej nie możemy być przyjęci w żadnym z biur projektowych w Poznaniu. (decyzja przewodniczącego MRN Jerzego Kusiaka). Zostałem osobiście ostrzeżony przez inż. Staniszkisa, że na zebraniu dyrektorów biur projektowych była informacja, że nie mogę być przyjęty do pracy w



Z. Piwowarczyk

Foto: archiwum

Poznaniu. Po sześciu miesiącach bezskutecznego poszukiwania pracy otrzymałem propozycję, że mogę być zatrudniony na stanowisku architekta powiatu obornickiego z pensją 2.300 zł, odległość 30 km od domu, na co się zdecydowałem. Sprawę pracy załatwił mi kolega architekt Zygmunt Łomski, prosząc w moim imieniu Jana Kossowskiego, Głównego Architekta Województwa Poznańskiego. Miałem dwie możliwości wyboru miejsca pracy, jedno w południowej Wielkopolsce (Jarocin), drugie w Obornikach – które odradzał, nazywając to powiatem „zsyłkowym” i ubogim (słabe ziemie i lasy).

Przy podejmowaniu pracy, jako architekt, musiałem się najpierw przedstawić w Komitecie Powiatowym PZPR, tam rządził sekretarz Stefan Żurawski. Często tam byłem wzywany. Najbardziej naraziłem się tzw. egzekutywie, gdy zostałem poproszony o zreferowanie poglądu na temat

monumentu, który miał stać w jednym z miasteczek powiatu obornickiego, chodziło o obelisk, który bardzo podobał się czerwonym towarzyszom.

Musiałem wytłumaczyć, że obelisk jest formą zapożyczoną przez sowietów ze starożytnego Egiptu, a także że takie monumenty znajdują się w Rzymie na placu przed bazyliką św. Piotra, oraz w Paryżu i Londynie. Podziękowali mi za zabranie głosu, na drugi dzień zatelefonował Żurawski i powiedział, że sprawdzili w encyklopedii, że mówiłem prawdę.

>> jak dzisiaj patrzymy na Rataje <<, to trudne pytanie, jednak poruszyło struny pamięci i odpowiadam: Minęło 30 lat od rozpoczęcia budowy dzielnicy Rataje. Byliśmy przekonani, że tanie budownictwo z wielkiej płyty zakończy swoją produkcję po oddaniu pierwszych osiedli „oszczędnościowych”. (pierwszy etap realizacji). Realizacja lat 1966-70 przewidywała 60% budownictwa 5-kondygnacyjnego, o koszcie nie przekraczającym 1900 zł/m.kw., oraz budynki 11-kondygnacyjne, z otwartymi prześwitami w monolitycznie wykonanych parterach dla cyrkulacji powietrza znad rzeki Warty. Również 16-kond. wieżowce miały być wykonane

w technologii monolitycznej do wysokości 5-kond., a wyżej montowane z wielkiej płyty. Ich realizacja przewidziana była w terminie późniejszym, po opanowaniu problemów ochrony p-poż, których wówczas nie można było rozwiązać.

„Tanie budownictwo mieszkaniowe” przeznaczone było dla ludności wykwaterowanej ze suterren i poddaszy, nie było wówczas mowy o budownictwie spółdzielczym.

Dzielnica Rataje była największą inwestycją mieszkaniową w kraju, prototypową pod względem programowym i technologicznym. Roczna produkcja 6.000 izb. Decyzja „oszczędnościowego budownictwa” dotyczyła tylko Dolnego Tarasu, jego pierwszych osiedli. W okresie 1962/63 dyskutowaliśmy również ze specjalistami branżowymi na temat wytrzymałości i izolacyjności płyt, odporności na czas i innych czynników niszczących wielką płytę. Na Ra-

tajach zasadniczym problemem były i są nadal warunki gruntowe i odwodnienie terenu, z koniecznością prowadzenia inwentaryzacji i zaadaptowania sieci melioracji gruntów rolnych i uzbrojenia terenu. Warunki gruntowe trudne, glina i soczewki wodne. W takim stanie opracowania, po dokonaniu uzgodnień planów urbanistycznych i przygotowaniu wstępnych projektów zabudowy mieszkaniowej zostaliśmy odsunięci od nie zakończonego procesu projektowania dzielnicy.

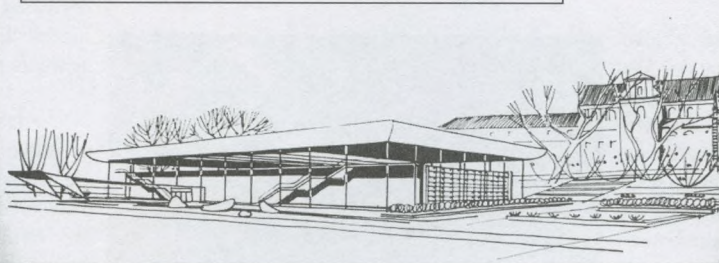
Wprowadzone przez „następców” zmiany projektowe na Dolnym Tarasie w znacznym stopniu zniekształciły plany urbanistyczne i zaprzępały rozwiązania architektoniczne. Na Górnym Tarasie także zastosowano „wielką płytę” w ogromnych blokowiskach – a miały być projektowane i realizowane budynki o innej technologii, („elastyczny układ planu” – takie były ustalenia planu ogólnego w 1962 roku).

Czy można jeszcze po tylu latach winić projektantów, którym nie pozwolono na kontynuowanie dzieła do realizacji włącznie? Dlaczego nawet teraz na emeryturze będąc, muszę stykać się z niechętną postawą środowiska zawodowego, jakby nie można było mnie traktować poważnie, bo uważa się że „najważniejsze w życiu to zrobienie kariery”, zazwyczaj jednak opłaconej kosztem innych. Bardzo mnie martwi kiedy odczuwam taką postawę otoczenia, bo dla mnie najważniejszą wartością jest zawsze odpowiedzialność zawodowa i patriotyzm.

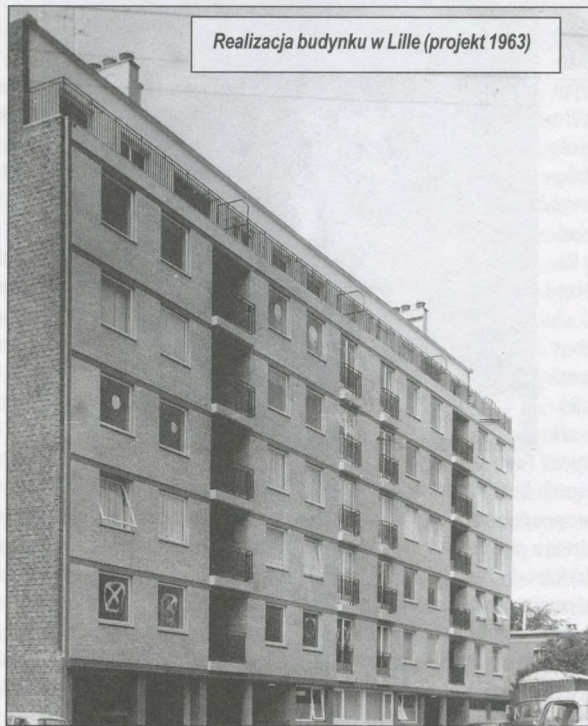
Kryzysu miasta współczesnego nie można opanować inaczej niż przez uporządkowanie spraw własnościowych, własność decyduje o podziale terenów na publiczne i prywatne. W roku 1945 przy Ministerstwie Odbudowy powołano Główny Urząd Planowania Przestrzennego, a w mar-

cu 1946 roku wydano dekret o planowaniu przestrzennym, na mocy tego dekretu planowanie było prowadzone na trzech szczeblach: krajowym, regionalnym i miejscowym. Przeprowadzona została również

Widok hali „Lecha”, na drugim planie Kościół Karmelitów Bosych



Realizacja budynku w Lille (projekt 1963)



komunalizacja gruntów miejskich, przykładowo w Warszawie (również w Poznaniu dzielnica Rataje). Prawdą jest także, że przyznawane w okresie PRL „odszkodowania” były wysoce krzywdzące właścicieli, gdyż wydatki z tytułu wartości terenów skomunalizowanych pograżyłyby na dziesiątki lat budżety miast. Komunalizacja gruntów miejskich umożliwiła jednak w innych krajach europejskich po wojnie, np. odbudowę centrum Rotterdamu i miasta Coventry w Wielkiej Brytanii. Także kompleksową odbudowę zabytkowych miast we Francji (rynk i place) w latach powojennych prowadzono na zasadzie umów hipotecznych. Jak ten skomplikowany

problem, w świetle aktualnych potrzeb społecznych, rozwiązać w dzisiejszych latach? Od problemu własności gruntów, jako podstawy planowania przestrzennego w nowej sytuacji (obowiązującej ustawy o gospodarce gruntami), trzeba będzie rozpocząć aktualizację planu dzielnicy Rataje (przed wejściem w struktury Unii Europejskiej?).

Potem dopiero można rozdzielić kompetencje: układy liniowe i sieciowe oraz punktowe „dominanty przestrzenne” zabezpieczyć w gestii miasta, a układy „plamowe”, wypełniające strukturę przekazać do dyspozycji lokalnym społecznościom. Czy idziemy w tym kierunku? Mam wątpliwości, gdyż gospodarka przestrzenna i lokalizacyjna Poznania, szczególnie w minionej dekadzie, doprowadziła do zakłócenia układu i chaosu komunikacyjnego w mieście, między innymi z powodu lokalizacji wielkich supermarketów w centrum miasta, które przecież powinny być lokalizowane w strefie podmiejskiej lub po prawej stronie rzeki, niedoinwestowanej w handel i usługi. W opinii społecznej brakuje tam usług o charakterze ogólnomiejskim (kulturalnych, handlowych, administracyjnych, sportowo-rekreacyjnych), jednak wybudowano kościoły, których normatywy w latach 1950/60 nie przewidywały, a „Władze” nie akceptowały. Nie realizowany program usług, wskazany planem ogólnym dla prawobrzeżnego Poznania, można połączyć z programem usług lewobrzeżnego miasta ciągiem komunikacyjnym osi handlowej terenów MTP i ulicy Święty Marcin przez most Św. Rocha, z pomocą masowej komunikacji projektowanego tramwaju, lub japońskiej szybkiej kolei miejskiej. Takie rozwiązanie ciągle jest możliwe do realizacji, w oparciu o naturalny układ fizjograficzny, a bardzo nam przypomina nasze koncepcje sprzed czterdziestu lat projektowanego „alwegu” nad ulicą Święty Marcin i mostu Św. Rocha. Do tej realizacji potrzebne są pieniądze, społeczna inicjatywa i dobra organizacja pracy, może w przyszłości będą takie możliwości?

Szczególnie niepokojącym jest brak wizji przestrzeni miasta Poznania, w tym rozwiązań dla transportu masowego ludności w układzie międzydzielnicowym i regionalnym.

Wspominając lata sześćdziesiąte, chcę przypomnieć także inne koncepcje projektowe, w których uczestniczyłem biorąc udział w konkursach organizowanych przez SARP, np. konkurs architektoniczny na halę sportową AWF na terenie położonym u zbiegu trasy Solnej i ulicy Działowej lub konkurs urbanistyczny na rozwiązanie przeczyszczenia ulicy Grunwaldzkiej i Bukowskiej nad torami kolejowymi do mostu Marchlewskiego (dzisiaj Królowej Jadwigi), w wyniku którego wybrano pracę zespołu prof. Władysława Czarneckiego i zrealizowano Rondo Kaponiera.

Według naszej koncepcji proponowaliśmy daleko idącą przebudowę układu komunikacyjnego śródmieścia Poznania w zakresie układu drogowego (z wykorzystaniem zbędnych torów kolejowych na budowę trasy tzw. „dolnej

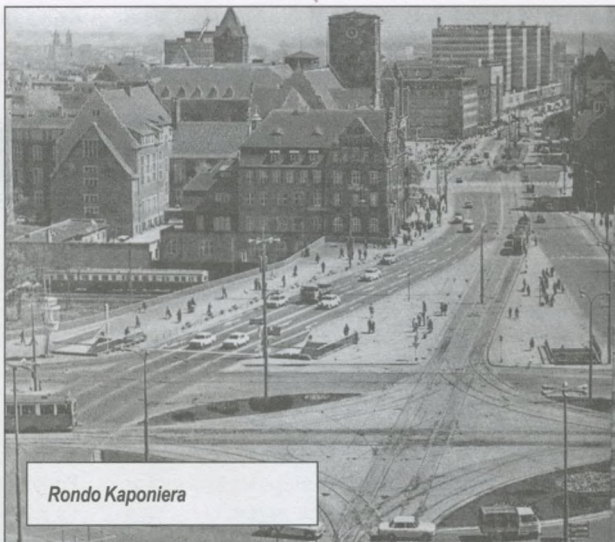


Foto: archiwum

Głogowskiej”) oraz trasy ruchu szybkiego przez śródmieście o kierunku W–Z, łączące dzielnice Grunwald-Rataje, z zastosowaniem skrzyżowań wielopoziomowych na odcinku od mostu Teatralnego do mostu Dworcowego, z przebudową układu tramwajowego w dolnej trasie ulicy Głogowskiej. Plany były konsultowane z dobrymi fachowcami w zakresie inżynierii ruchu samochodowego (mgr inż. Chlebowicz) i tramwajowego (mgr Ledworski). Autorami śmiałej, dalekosiężnej koncepcji przebudowy układu komunikacyjnego śródmieścia Poznania, przewidzianej na lata 1963-1973, byli architekci: Regina Pawuła, Zdzisław Piwowarczyk, Jerzy Szmidt. Niestety jury uznało „że projekt jest w grupie N” (niespełniający wymaganych warunków). Oglądając te stare plany w roku 2000. żałuję, że nie zostały docenione przez jury przed czterdziestu laty... Niestety wykonane wówczas realizacje Ronda Kaponiera i modernizacja mostu Dworcowego wynikająca z elektryfikacji kolei, zaprzepaściły możliwości wykorzystania nieczynnych torów kolejowych dla budowy przelotowej trasy samochodowej i tramwajowej o kierunku P-P na odcinku od ulicy Puławskiej do wylotu ulicą Kolejową... Były możliwości lepszego i tańszego rozwiązania od „nieszczęśliwej pestki”, którą dzisiaj dojeżdżamy z Winograd do centrum, a jak dalej?

Zdzisław PIWOWARCZYK

Powyższym tekstem kończymy cykl artykułów „Kim jestem? (Z warsztatu architekta)” autorstwa zmarłego w ubiegłym roku Zdzisława Piwowarczyka, informując jednocześnie, że Jego biografia (1926-2001) ukaże się w wydaniu książkowym pt. „Być sobą” w III kwartale bieżącego roku.

Lektura w feministycznym nastroju cz. 2

W pierwszej części gawędy feministycznej w nastroju opisywałam mankamenty (z punktu widzenia kobiety) przedstawienia bohaterki Trylogii, zwłaszcza zaś słabości psychologicznej prawdy tegoż przedstawiania. Prawdę mówiąc poza rozbieżnościami w ocenie powieści współczesnej Sienkiewicza „Bez dogmatu” (tu zwłaszcza pozytywna opinia literatów rosyjskich, np. Tolstoja), większość krytyków i historyków literatury przyznaje zgodnie, że fenomen Sienkiewicza polega m.in. na tym, że wspaniałe w odbiorze utwory w sferze psychologii bohaterów są wręcz płytkie. Jednocześnie można śmiało podpisać się pod wypowiedź Jarosława Iwaszkiewicza: „nie da się go (Sienkiewicza) wyrzucić z uczuć i wyobraźni zbiorowej. Jak on wiedział, czym przemówić do polskiego czytelnika, jak go zająć i wzruszyć! Jak on znał tych Polaków!”.

Kolejną powieścią historyczną według chronologii twórczości Sienkiewicza, której bohaterki powinienam omówić, jest „Quo vadis”. Po tragicznej Anielce z „Bez dogmatu” i aż niezmiernie, nierealnie dobrej, cierplivej i wyrozumiałej Maryni z „Rodziny Połanieckich” miał pisarz przed sobą zadanie stworzenia bohaterki płynnie łączącej dwa światy – pogański i chrześcijański w „Quo vadis”. Sienkiewicz uznawał za element niezbędny w powieści historycznej wątek miłosny. „Jest on wyborną osnową, osią bajki... Miłość wreszcie... zawsze jest to wieczysta poezja, światłotęcza...” Do tej wieczystej poezji zalicza z reguły „olśnienie, zachwyt, upajający czar, wzniosłość i kult kobiety wyidealizowanej lub moralnie czystej”; „sprawy zmysłów pojawiają się

jak cienie mącące idealistyczny ton... zostają przewyciężone „światłem, tęczą” jak i Winicjusza”.

Właśnie takie założenia uwarunkowują wizerunek Ligii i przesądzą o konieczności ubaśniowienia bohaterki. Podobnie jak Helena w „Ogniem i mieczem” Ligia co prawda jest piękna, wierna i uduchowiona, ale mimo to jakby pozbawiona charakteru. Pojawia się w powieści, kiedy trzeba „kleić” fabułę (a do klejenia scen Sienkiewicz sam się przyznawał), ale choć ciągle jest porywana, przenoszona,

poszukiwana, jest tylko źródłem działań mężczyzn i innych kobiet, sama niewiele wnosząc do akcji. W tym właśnie przypomina baśniową królewnę – wcielenie dobra, o którą walczą dobre i złe moce. Tak wierząca i uduchowiona po uwolnieniu przez Ursusa, w momencie pogromu chrześcijan wyjeżdża z Winicjuszem na Sycylię cieszyć się ziemskim szczęściem – też w imię baśniowego zakończe-



nia: „żyli długo i szczęśliwie...”.

Jeszcze bardziej tylko ozdobnikiem w powieści jest Eunice, która choć ma być miłością Petroniusza, jest raczej tylko obiektem podziwianym i nawet uwielbianym, ale jak ładna rzecz – kwiat, posąg czy waza. Działanie samej Eunice, poza wprowadzeniem do akcji powieści Chilona, sprowadza się do niewielu czynności – układania fałd tog na początku utworu i obejmowania posągu Petroniusza, potem zaś już samego Petroniusza.

Są jednak w „Quo vadis” co najmniej dwie sceny, w których bez względu na zarzucaną przez krytyków „oleodrukowość” obie bohaterki przeciągają czytelnika na swoją

stronę – uwolnienie Ligii przez Ursusa z rogów tura oraz śmierć Petroniusza i Eunice.

W „Quo vadis” występują epizodycznie także inne postacie kobiece: w charakterze niemal złej czarownicy, zdecydowanie negatywna żona Nerona – Poppea Sabina, bohaterki pozytywne: dawna kochanka cesarza – Akte oraz chrześcijanka – Pomponia Greycyna, matkująca Ligii i Miriam.

Być może wszystkie bohaterki „Quo vadis” wypadłyby nawet z feministycznego punktu widzenia lepiej, gdyby nie największa niedoskonałość utworu – owo „klejenie” wspólnych scen. W miejscach scalania pojawia się sporo niedoskonałości osłabiających wymowę całości.

W następnej powieści historycznej Sienkiewicza „Krzyżakach” przedstawiony jest kolejny, ulubiony przez pisarza dualizm bohaterów, skrajnie różne – Danusia i Jagienka. Sienkiewicz z wielkim upodobaniem zestawia w swych utworach jako typy bohaterek „gotyk” i „hellenizm”, Madonnę i Fryne – tak jest w „Bez dogmatu” – Anielka i p. Davis, tak jest w „Quo vadis” – Ligia i Eunice, wreszcie tak jest w „Krzyżakach” – Danusia i Jagienka.

Anielskość jest jedynym z ulubionych określeń pisarza w opisach kobiet, czy to ich fizycznego wyglądu czy charakteru. „Krzyżacy” są według historyków literatury uważani za powieść o „tężyznie fizycznej narodu”. Postać dziecinnej, kruchej Danusi do takiej koncepcji nie pasuje i choć pisarz próbował ją później nieco postarzyć i urealnić, ze względu na ideę główną utworu pozostała młodzieńką królową, która przez złe czary zmarła młodo. Przyjrzyjmy się opisom Danusi – jej „nieziemskie” przeznaczenie jest czytelne przez cały utwór: „stojąc na ławce wydawała się małym dzieckiem, ale zarazem przecudnym jakby jakowąs figurką z kościoła albo z jaseleczek”. W dniu ślubu „powieki miała ze wzruszeniem przymknięte, rączyny opuszczone wzdłuż sukni – i przypominała tak jakieś malowania na szybach, było w niej coś tak kościelnego, że Zbyszka zdjął zdziwienie na jej widok, pomyślała bowiem,

że nie dziewczynę ziemską, ale jakąś duszyczkę niebieską ma wziąć za żonę...”. Nawet panu de Lorche „ta biała dziewczyna z wiankiem nieśmiertelników na skroni wydała się

jakby aniołem widzianym na szybie w gotyckim tumie”. Już po śmierci Danusi Zbyszko pogodziwszy się z losem przypomniał sobie: – „Swego czasu w Krakowie podziwiał bardzo na szybach kościelnych wycięcie ze szkła i ...postacie różnych świętych panienek – barwne, przeświecające w słońcu, a teraz wyobrażał sobie



tak samo Danusię. Widział ją niebieską, przeźroczystą, odwróconą bokiem, ze złożonymi rączkami... wśród różnych zbawionych Bożych skrzympaczków...”

Biegunowo odmienna jest Jagienka, ze względu na wymowę utworu od początku przeznaczona na prawdziwą partnerkę Zbyszka. Jest stosownie do koncepcji powieści uosobieniem instynktu samoobrony, zdrowia i życia zbiorowego narodu. Nie jest baśniowa, i zgodnie z ideą przetrwania wydaje się być co najmniej tak płodna jak Helena Skrzetuska (choć ostatnia doczekała się dwunastu synów, a Jagienka w momencie zakończenia akcji tylko czterech, możemy domniemywać, że po wojnie z Krzyżakami, małych Gradów ku uciesze Maćka i w zgodzie z polską żywotnością jeszcze przybędzie). Być może należałoby się przyjrzeć kiedyś wątkowi macierzyństwa w twórczości Sienkiewicza, w tym niespełnionego macierzyństwa jak Basi Wołodyjowskiej – w końcu wątkowi tak „nośnemu” literacko, że dostrzegamy go od „Calineczki” Andersena do współczesnej bohaterki Yennefer z sagi Sapkowskiego.

Przyjrzyjmy się teraz Jagience: „Oto na szybkim sroczku sadziła ku nim siedząc po męsku dziewczyna z kuszą w rękę i z oszczepem na plecach. W rozpuszczone od pędu włosy powszczepiały jej się chmielowe szyszki; twarz miała rumianą jak zorza...”. „...od Jagienki bił blask zdrowia, młodości i siły. Stary opat nie próżno mawiał o niej, że wygląda jak na wpół kalina, wpół sosenka. Wszystko w niej było piękne: i wysmukła postawa, i szerokie ramiona,

i piersi jak ze skały wykute, i czerwone usta, i modre oczki bistro patrzące...". Jest też opis, którego fragment wszedł do języka potocznego: „Obok bogactwa, urody i dworności, czczono także niezmiernie jej czerstwość i siłę. I był o tym jeden głos: „że to dopiero niewiasta, co niedźwiedzia oszczepem w boru podeprze, a orzechów nie potrzebuje gryźć, jeno je na ławie ułoży i z nagła przysiadzie, to ci się wszystkie tak pokruszą, jakobyś je młyńskim kamieniem przycisnął.”

Jagienka potrafi wszystko: zachować się na książęcym dworze, zaopiekować młodszym rodzeństwem i posiadłością sąsiadów, z wielkim zmysłem praktycznym i taktem gospodarzy w Spychowiu, jest w stanie dobrą radą i zbrojnym ramieniem nie tracąc wdzięku wesprzeć ojca, opata, potem Maćka i Zbyszka. To chyba najbardziej udana bohaterka Sienkiewicza: zresztą „Krzyżacy” są wyjątkowo dopracowaną powieścią w każdym szczególe, co wyszło na korzyść także postaciom kobiecym.

Jeszcze jeden „feministyczny” przyczynek do omawianych powieści – ilość występującego poza wspomnianą „anielskością” koloru „różowego” lub też często różanego” (niejednokrotnie w połączeniu na dodatek z „zamglonymi oczyma”). Kilka przykładów tego koloru: Jeśli Oleńka Billewiczówna była tylko z „anielskich”, „...urodziwa nad miarę, jasnowłosa, nieledwie anielskiej twarzy”, to już Basia Wołodyjowska „drobna choć nie chuda, różowa jak pączek róży...”. Wołodyjowski po oświadczeniach „przycisnął usta do jej różanych dziewczyczych usteczek”, Basia informowała o tych oświadczeniach „bardziej zdyszana niż zwykle, bardziej różowa”. W cztery lata po ślubie przy wyjeździe do Chreptiowa schylała „swoją cudną, twarz różową”, a Michał przy innej okazji pocałunkami jej „różową twarz okładać pocał...”.

Ligia jako porównywana do Jutrzenki musiała być jak „istna różano-palca Jutrzenka”, kształty miała „utworzone

jakby z perłowej masy i róży”, jej śnieżne czoło poczęło różowieć”, a emocje sprawiały, że płonęła „jak róża lub jak jutrzienka”. Nie mniej różowa była Eunice „przybrana w szatę...”, przez którą przegładało się jej różane ciało”, jej ramiona miały „przecudny kolor bladej róży”, nawet Petroniusz pytał, czy może istnieć marmur tak piękny jak jej ciało „ciepły, różowy i rozkochany?”



Danusia z kolei miała „jasną drobną głowę, różany policzek...”. Może już starczy takiej „dyskusyjnej” kolorystyki.

Istnieje jeszcze temat kobiecy w twórczości Sienkiewicza wart uwagi jego bohaterki tragiczne, ale to już materiał na inną gawędę...

Po naszych może nie akademickich rozważaniach o bohaterkach sienkiewiczowskich powieści historycznych, musiałśmy stwierdzić, że nawet takiej „feministycznej” próbie oceny utworów pisarza nie poddają się łatwo ani do końca jednoznacznie.

Prof. Szwejkowski, który dość ostro oceniał twórczość Sienkiewicza, pisał: „Fenomen, którego imię: Henryk Sienkiewicz, jest chyba najdziwniejszym fenomenem, jakiego wydała literatu-

ra polska drugiej poł. XIX w. Pisarz to na pozór tak prosty, jasny i klarowny, że – zdawałoby się – opracowanie jego twórczości będzie jednym z najłatwiejszych zadań... w istocie jest on tak trudny do ujęcia, tak pełen zaskakujących niespodzianek, że do dziś dnia...historia literatury wie jeszcze niewiele zarówno o jego sztuce pisarskiej, jak i jego indywidualności... Nie, to pisarz niełatwy do rozgryzienia! Jego twórczość tak pełna jest ...kontrowersji i nieoczekiwanych zmian, że historykowi literatury trudno je opłacać, skupić w jedną całość zarówno jego pionierskie, znakomite posunięcia, jak i mielizny zalegające w jego dorobku, trudno zdobyć się na właściwą syntezę”.

Barbara SOKOŁOWSKA-HURNOWICZ
przy współpracy Aleksandry HURNOWICZ

„NAD RZEKĄ WARTĄ...”

Śrem w fotografii

Wystawa w Rožnovie pod Radhoštěm

(3.05. – 3.06.2002 r.)

W 1999 roku Muzeum Śremskie ogłosiło konkurs fotograficzny: „Śrem w twoim obiektywie”. Na konkurs napłynęły 132 prace 13 autorów. Plon konkursu zaprezentowany został podczas Dni Śremu. Organizatorki konkursu, dwie śremianki: Kasia Kamzol i Paulina Łapińska skierowały swój konkurs do śremskiej młodzieży uczęszczającej do szkół zawodowych, średnich i wyższych.

Do młodych ludzi mieszkających tak jak one w Śremie, w mieście swojego dzieciństwa i młodości.

Organizatorki konkursu wyszły z założenia, że fotografia będąca popularną formą twórczości, powszechnie uprawianą m.in. jako sposób dokumentowania wszystkiego co przyjemne, ciekawe, zaskakujące, gwarantuje akceptację także młodych obserwatorów.

Ogłaszając konkurs o tej tematyce chciały zwrócić uwagę młodych ludzi na otoczenie, w którym żyją, spowodować do wyrażenia publicznie swoich odczuć. Liczyły na to, że konkurs umożliwi także wyłonienie uzdolnionych młodych twórców.

I nie pomyliły się. Wystawa fotograficzna prac pod patronatem Muzeum Śremskiego umożliwiła większości młodych twórców pierwszą publiczną prezentację własnych pomysłów. Wszystkie prace zostały zaprezentowane na wystawie fotograficznej w czeskim Rožnovie pod Radhoštěm w 2000 roku.

Zdecydowana większość prac przedstawiała Śrem od strony „podwórza” jego zakamarki, zdewastowane budynki w rozbiórce i „tajemne” miejsca.

Latem 2000r. członkowie Klubu Historyczno-Krajoznawczego działającego przy Muzeum Śremskim w Śremie przebywając na wakacjach w Rožnovie zwiedzili wystawę pokonkursową prezentowaną w Galerii Mestske knihovny.

Ze zdumieniem i przerażeniem przeczytaliśmy wpisy w księdze pamiątkowej. Zwiedzający, oglądając nasze miasto na prezentowanych fotografiach pokonkursowych, postrzegali je jako smutne, przerażające, z którego chciałyby się uciec. Nic dziwnego, skoro prezentowane prace w taki właśnie sposób „opowiadały” o Śremie. Spełniały one walory artystycznej fotografii, natomiast nie promowały uroków Śremu.

A przecież nasze miasto jest niebanalne, nowoczesne, z pięknymi zabytkami i ciekawą zabudową, przyjazne mieszkańcom i turystom. I do takiego Śremu chcielibyśmy zaprosić turystów z Rožnovie pod Radhoštěm. Mamy nadzieję, że obecna prezentacja fotografii autorstwa Zbigniewa Szmidta i Edwarda Knasiaka w czeskim Rožnovie pod Radhoštěm taki właśnie Śrem zaprezentuje.

Uroczyste otwarcie wystawy miało miejsce 3 maja br. w Galerii Miejskiej w Rožnovie. Otwarcia ekspozycji dokonał

dyrektor Muzeum Śremskiego Mariusz Kondziela. Obecni byli: konsul Rzeczypospolitej Polskiej w Ostrawie, wicestarosta Rožnova Jarmila Malenaková, burmistrz Śremu Marek Basaj oraz jeden z autorów fotografii Zbigniew Szmidt. Wernisaż wzbogacony został koncertem poezji śpiewanej w wykonaniu M. Krecmarovej.

Osiem lat współpracy pomiędzy Rožnovem a Śremem podsumował Richard Sobotka poeta, redaktor „Spektrum Rožnovska”. Podczas wernisażu dokonano prezentacji tomiku wierszy Adama Lewandowskiego CODZIENNIK / DENIK, który ukazał się w polsko-czeskiej wersji językowej nakładem Urzędu Miejskiego w Rožnovie. Na wystawie wśród licznie zgromadzonych gości obecni byli przebywający na wakacjach w Rožnovie pracownicy Urzędu Miejskiego w Śremie.

Barbara JAHNS



Foto: Z. Szmidt

Ziemia wielkopolska w świetle zapomnianych pamiętników

Józef Rufin Rogala Wybicki (1747-1822)

„...zwierzchności Miasta Szreму, w którym do obywatelstwa przyłączony jestem, podległym być chcę i obowiązki wszelakie zachowam...” Wielu z nas doskonale zna z lektury „*Dzieje Śreму*” słowa wypowiedziane 6 sierpnia 1791 r. przez twórcę hymnu narodowego Józefa Wybickiego, który w obecności magistratu przyjął obywatelstwo Naszego Miasta.

O autorze hymnu wiele już napisano. Warto jednak dziś przypomnieć sylwetkę Wybickiego, zwłaszcza, że jego pamiętnik zatytułowany „*Życie moje*” jest bogatym źródłem opisującym dzieje Polski i ziemi Wielkopolskiej w ostatnich latach istnienia Rzeczypospolitej oraz pierwsze lata niewoli prusko-austriacko-rosyjskiej.

Józef Rufin Wybicki urodził się 29 września 1747 r. w Bedominie w rodzinie sędziego ziemskiego mirachowskiego Piotra i Konstancji z Lniskich. Uczył się w kolegium jezuickim w Gdańsku, skąd relegowany rozpoczął praktykę jako palestrant w kancelarii grodzkiej w Skarszewach, a później w Poznaniu. Będąc młodym człowiekiem zasłynął jako działacz polityczny, pisarz i publicysta. Już w wieku dwudziestu lat został posłem na sejm 1767–68, gdzie wstąpił się wystąpieniem przeciw gwałtom N.W. Repnina. Czynnie uczestniczył w konfederacji barskiej, zabiegając o pomoc dla jej uczestników u Fryderyka II. Z ogromnym zaangażowaniem przystąpił do tworzenia ruchu konfederackiego na Pomorzu i w Wielkopolsce. W latach 70. zasłynął jako jeden z czołowych działaczy królewskiego obozu reform. Był m.in. sekretarzem zespołu opracowującego projekt tzw. Kodeksu Zamoyskiego i wizytatorem Komisji Edukacji Narodowej, z polecenia której przeprowadził w 1778 r. reformę Akademii Wileńskiej.

W 1780 r. osiadł w Manieczkach. Był posłem na sejm z województwa wielkopolskiego i kaliskiego. W toku przygotowań Ustawy 3-go Maja został członkiem deputacji do ułożenia Kodeksu Stanisława Augusta. W 1791 r. został plenipotentem Poznania i Śreму na sejm. Uczestniczył w powstaniu kościuszkowskim, a widząc nadchodzącą klęskę przystąpił do Targowicy. Po zakończeniu wojny polsko-rosyjskiej udał się na emigrację. Najpierw do Paryża, w

którym działał jako publicysta Agencji; później do Włoch, gdzie z gen. Janem H. Dąbrowskim przystąpił do formowania Legionów. W lipcu 1797 r. ułożył słowa pieśni Legionów polskich „*Jeszcze Polska nie umarła...*”

Po klęsce Prus, z polecenia Napoleona, pojawił się w listopadzie 1806 r. w Poznaniu, gdzie jako członek Rządu Tymczasowego organizował aprowizację armii francuskiej oraz polską administrację i sądownictwo. Dwa lata później, jako prefekt departamentu poznańskiego, organizował jego obronę wobec groźby ataku austriackiego. Po klęsce Napoleona zmienił orientację na prorosyjską, pełniąc w latach 1817–20 funkcję prezesa Sądu Najwyższego oraz prezesa Deputacji Prawodawczej. Pracował wówczas nad projektem kodeksu prawa cywilnego i kryminalnego. Umarł 1 marca 1822 r. w Manieczkach.

Józef Wybicki był autorem wierszy, komedii obyczajowych („*Kulię*”, wystawionych w 1783 r.) i politycznych („*Szlachcic mieszczańinem*”, wystawionych 1791 r.), tragedii historycznych („*Zygmunt August*” 1783) oraz librett operowych. Szczególnie cenne dla literatury okazały się: „*Listy patriotyczne*” (t. 1–2 1777–78), związane z kampanią o przyjęcie Kodeksu Zamoyskiego, pamiętniki „*Życie moje*” (1840, wyd. krytyczne 1927), „*Utworki dramatyczne*” (1963) oraz „*Wiersze i arietki*” (1973).

Ze względu na charakter artykułu przedstawię czytelnikom tylko niewielki wycinek pamiętników, skupiając się przede wszystkim na czasach Księstwa Warszawskiego. Właśnie w tym okresie autor związany był z ziemią wielkopolską, m.in. Poznaniem, Manieczkami i Śremem.

Wspomniany powyżej pamiętnik, należy traktować jako próbę wyjaśnienia przez Wybickiego zawilości swego życia. Już w pierwszych słowach informuje czytelnika o powodach, które nim kierują: „...postanowiłem, najmniej za całą spuściznę zostawić historię mego życia moim dzieciom, aby te nie zrozumiwały z czasem, że za jaką istotną zbrodnię zasłużył na śmierć i wygnanie”.

Często zadajemy sobie pytanie, dlaczego tak wielki mąż stanu, po latach pobytu w stolicy – ucieka na prowincję. Czy szuka spokoju? A może ucieka przed odpowiedzial-

nością za losy upadającej ojczyzny? Odpowiedź oczywiście znajduje się w pamiętniku. Tym samym wymowne staje się określenie Warszawy, którą Wybicki postrzega jako: „Babilonia rozwiązłości i niecnoty”. Surowo oceniona jest również elita polityczna, gdyż „... łupiąc – jak pisze – swą matkę (ojczyznę) i burząc wszelki porządek społeczeństwa, upojeni zbytkiem i rozwiązłością, zasypiali spokojnie nad brzękiem przepaści...” Upadek Kościuszki i trzeci rozbiór Polski, był strasznym ciosem dla Wybickiego. Nie mógł pogodzić się z utratą niepodległości i z ogromnym zaangażowaniem przystąpił do pracy, zarówno poetyckiej, jak i politycznej. W tych właśnie warunkach pojawiła się postać Napoleona Bonaparte’go, który pragnął dla swych celów wykorzystać Polaków.

Napoleon przystępował do podniesienia sprawy polskiej bez jakiegokolwiek planu, poddając się całkowicie okoliczności chwili, wiedząc, że dla sprawy tej, nie może prowadzić wojny, że odbudowanie byłej Rzeczypospolitej przechodzi jego „Możności”. W tych też okolicznościach (3 listopada 1806r.) stanęli przed cesarzem Francuzów organizatorzy narodu polskiego Józef Wybicki oraz generał Jan Henryk Dąbrowski. Spotkanie to zakończyło się wydaniem proklamacji, wzywającej Polaków do powstania i tworzenia nowej armii.

Spóeczeństwo odpowiedziało na apel Wybickiego i Dąbrowskiego. W krótkim czasie w szeregach nowo tworzonej armii polskiej stanęło ok. 30 tys. żołnierzy, zgromadzonych w trzech legiach, których dowództwo przypadło Janowi H. Dąbrowskiemu, Józefowi Zajączkowi oraz księciu Józefowi Poniatowskiemu.

W tym samym niemal czasie do Poznania przybył pierwszy oddział francuski, którego pojawienie się wlało w serca Wielkopolan nadzieję na odbudowę niepodległej Polski. Przez kilka dni wspomniany oddział francuski był osamotniony. Dlatego też, pozostający w mieście urzędnicy pruscy podjęli próbę zawiązania siły zbrojnej, której

celem było odcięcie z rąk francuskich Poznania. Dyrektor kamery Karl Justus Gruner oraz nadleśniczy von Massow powzięli decyzję o nawiązaniu kontaktu z dowódcą stacjonującego w Słupcu pułku – von Ronquetta. W trakcie owych przygotowań przybył do miasta kurier, który stał się zapowiedzią rychłego przyjazdu wysłanników Napoleona – Józefa Wybickiego oraz gen. Jana Henryka Dąbrowskiego.

6 listopada (w późnych godzinach wieczornych) przybyli do Poznania wysłannicy cesarza, którzy entuzjastycznie zostali powitani przez ludność miasta. Był listopad i pomimo słoty tego dnia, wyległa większa część miasta na przedmieście Św. Marcina. Gdy karetą z „jenerałem” stanęła, pomimo ciemnej nocy i padającego deszczu, powitał go zgromadzony lud radosnymi okrzykami, a później, wyprząc konie,

sam zawiózł go do mieszkania, znajdującego się w domu Mielżyńskich. Następnie na rękach wyniesiono go z karety, a za chwilę całe miasto – jak pisał Wybicki – „iluminowano”.

Pomimo takiego przyjęcia, zapal nie od razu ogarnął wszystkich mieszkańców miasta: „Bierność i apatia Poznania tłumaczy się tem, że jak miasta w okolicy, tak i stolica prowincji nie odgrywa roli przewodniej w ówczesnym życiu narodowym, gdyż jest w połowie zajęta przez Niem-



ów i Żydów, żywioł polski składa warstwa mniej zamożna, a ziemiaństwo zjeżdża się dopiero na płomienne wezwanie, które Dąbrowski i Wybicki rzucają w Berlinie 3 listopada. Kraj przebiegają emisariusze, często zakonnicy, budząc go dopiero do dziejowych przeznaczeń. Trzeba dopiero wykrzesać zapal, odwagę i poświęcenie. Przejawiają się one zrazu przeważnie tylko u tych, co nie mają nic do stracenia, u pospólstwa szlacheckiego, najsrożej doświadczanego przez rządy pruskie, u dawnych żołnierzy Kościuszkowskich i legionistów, u byłych urzędników i oficyalistów Rzeczypospolitej, którzy jako rezydenci marnie wetęją (...)" – pisał po latach wybitny poznański historyk, Adam Skałkowski.

Sam Wybicki, choć uraczony powitaniem zgotowanym przez rodaków, tak wspomina swój listopadowy przyjazd do Poznania: „Cieszył mnie zapal powszechny, lecz po krótkich chwilach, gdy po uściskach braterskich wdałem się z mnóstwem zgromadzonych obywateli w rozmowy spostrzegłem w niektórych powątpienie i bojaźń – w drugich przebiegało się przez patriotyczną powierzchowność przywiązanie do rządu pruskiego. Gdy postępując do mego zamiaru oświadczyłem, że zaraz jutro urzędników pruskich znosić zaczęte stawiając na ich miejsce rodaków, ze zadziwieniem małą liczbę ochoczych, w reszcie niesposobności się wymawiających się znalazłem. – Nie raz nad tem uwagę moją rozciągałem, czego mógł dokonać w czasie krótkim rząd obcy nad duchem Polaków”.

Cytowany już wcześniej Adam Skałkowski uzupełnia relację Wybickiego bardzo trafnym komentarzem: „(...) wśród tych obywateli zjeżdżających do Poznania i radujących się było aż nadto, wielu poprostu gapiów, których pociągnęła ciekawość, ale którzy chcieliby sami antiquo modo przyglądać się tylko zdarzeniom dziejowym, odczekać, co z nich wyniknie, nie narażając się zbytnio i pozostawić trud odbudowania Polski kochanym Francuzom. – I na tem polega znaczenie Napoleona, Dąbrowskiego, Wybickiego, potem księcia Józefa i innych przodowników tego pokolenia (...)”

Kilka dni później przybył do Poznania Napoleon. I choć ludność miasta, oczekująca jego przyjazdu od wczesnych godzin rannych, rozeszła się do domu, w bardzo krótkim czasie z powrotem wyszła na ulicę, aby powitać oswobodziciela narodu polskiego. Całe miasto iluminowano, a Napoleon zamieszkał w kolegium jezuickim.

Oficjalne powitanie cesarza przez deputację nastąpiło dopiero w godzinach południowych 28 listopada 1806 r. Mówcy występowali w ustalonym porządku zgodnie z listą dostarczoną przez Wybickiego marszałkowi pałacu Durowowi.

Pierwsi weszli do sali tronowej przedstawiciele senatu, wśród których znaleźli się: wojewoda gnieźnieński – Jó-

zef Radziwiński, kasztelan gnieźnieński – Miaskowski, kasztelan nakielski – Zakrzewski, kasztelan międzyrzecki – Krzyżanowski oraz kasztelan sierpski – Mlicki. W ich imieniu przemówił wojewoda Radziwiński, którego łacińskie wystąpienie miało podkreślić powagę wypowiadanych słów. Po latach przemówienie to stało się prorocstwem, a zwłaszcza słowa: „Zachód widział pojawienie się Twego geniuszu, południe stało się zapłatą za trudy, wschód jest dla ciebie przedmiotem admiracji, północ stanie się granicą Twoich świetnych zwycięstw”.

Na drugi dzień, o godzinie dziewiątej cesarz udzielił audiencji przedstawicielom cywilnych i wojskowych władz departamentu poznańskiego, wśród których znaleźli się m.in. Gorzeński, Wybicki, Działyński i Sobolewski oraz panie i panowie przybyli na posłuchanie. W samo południe Napoleon uczestniczył w mszy świętej „dla okazania narodowi, iż jest katolikiem”, w której towarzyszyli mu biskup poznański, proboszcz fary oraz najbliższe otoczenie cesarskie. Kilka godzin później cesarz Francuzów udał się na konną przejażdżkę. „Kiedy tak cesarz jak wiatr przebywał miasto (...) zasłyszalem głosy odzywające się od rynku na nowej ulicy: „Vive L'Empereur!” – Spostrzegłszy się więc, iż cesarz powraca, stanąłem pod gimnazjum, a koło mnie stanął także jakiś żołnierz francuski z artylerii. Wnet pędził żywo na koniu ku domowi przodując cesarzowi prefekt Poniński w pełnym mundurze w szarfi. Stał przy bramie koło guida, który mu się cofnąć musiał w tył na parę kroków ku nowemu rynkowi, a zdjawszy nisko swój kapelus generalski oczekiwał wjazdu cesarza. Ten zaś zwinął i stępce jechał ku kwaterze (...). Cesarz skręcił trochę konia na lewo (...). Weszliśmy (na dziedziniec) z całą paradą, przy odgłosie bębnow, prezentowaniu broni na odwachu i oderwaniu się hucznej muzyki (...) pośród ciekawej rzeszy, co tylko przybyłej z przejażdżki”. Wieczorem ponownie iluminowano miasto, o czym po latach przypominał Dziennik Poznański.

Nastal czas pokoju. Jednak 20 kwietnia 1809 r. Józef Wybicki otrzymał od Rady Stanu Królestwa nominację na naczelnika cywilno – wojskowego departamentu poznańskiego. Stanowisko przyjął – „na głos Ojczyzny, jak jej synowi być należy, posłusznym” – pisał we wspomnieniach – i od razu z całą gorliwością przystąpił do działań celem wytworzenia jak najlepszej atmosfery w mieście. Ostro zajął się ujawnianiem pokątnych sympatyków Prus i Austrii, grożąc im surowymi konsekwencjami. Odczuł to na własnej skórze Niemiec Bucholtz, który rozgłaszał wśród mieszczan poznańskich niesprawdzone, daleko odbiegające od rzeczywistości wiadomości dotyczące sytuacji w księstwie. Prefekt Józef Poniński wysłał go do Brandenburskiej „publicznie przez miasto, aby przykład publiczny oszczędził mi pracy deportałów”.

Wybicki, znając doskonale sytuację w departamencie, miał do pomocy generała Amilkara Kosińskiego, który zajął się organizacją siły zbrojnej. Wspólnie omawiali plany obrony Poznania oraz organizacji siły zbrojnej. Wyznaczono więc wspólnie rotmistrzów dla poszczególnych powiatów i razem z nominacjami przesłano im instrukcje. Wybicki był pełen dobrych myśli, wierzył, że swą wiarą i energią natchnie swych rodaków, którzy zaraz będą dostarczać pocztowych do kawalerii, a strzelców do piechoty. Tym samym, jak pisze świadek tamtych wydarzeń Franciszek Gajewski: „Wybicki (...), stał się postrachem wszystkich obojętnych, narobił sobie mnóstwo nieprzyjaciół skutkiem niesłychanych ofiar, które wymógł od obywateli. Umiał wykryć każdą opieszałość i złą wolę, a surowe przedsięwzięte środki przeciwko niechętnym, zapewniały na przyszłość zadość uczynienie rozkazem jego”.

W ciągu kilku następnych tygodni, na przełomie kwietnia i maja, Wybicki z Kosińskim dokonywali cudów organizując siłę zbrojną. Część stanowiło pospolite ruszenie, które z wielu przyczyn nie odpowiadało warunkom stawianym wojskom. Dlatego też, w momencie, gdy do Poznania przybywał jakiegokolwiek oddział regularnego wojska, Wybicki już go stąd nie wypuszczał, lecz opłacał, a następnie wcielał do tworzonej armii. W ten sposób użyto zakłady pułków trzeciej legii oraz wcielono oddział 3 pułku piechoty dowodzonego przez por. Jana Kossowskiego złożony z 1 sierżanta, 5 kaprali, 1 tambormajora, 3 woltżyerów i 41 fizylierów. Oddział ten eskortował amunicję z Łęczycy do Torunia, skąd w drodze powrotnej został przez naczelnika ściągnięty do Poznania.

Do Poznania przybył wówczas gen. Jan Henryk Dąbrowski, który objął dowództwo nad siłami zbrojnymi znajdującymi się na lewym brzegu Wisły. W pierwszych dniach pobytu generał przystąpił do przygotowań, których celem było rozprawienie się z obcym najeźdźcą. Przeformował istniejące pułki oraz ściągnął do miasta oddziały zakładowe, które stanowiły podstawę dla tworzenia nowych kadr wojskowych. Ogromną pomoc przy organizacji wojska uzyskał Dąbrowski od Wybickiego, który przekazał mu fundusze zebrane przez władze administracyjne. Te fundusze umożliwiły generałowi ostateczne sformowanie korpusu wojska, w skład którego weszła piechota i artyleria.

Mieszkańcy miasta uważnie obserwowali wszystkie poczynania władz administracyjnych zarówno wojskowych, jak i cywilnych. Z wielką obawą słuchali wieści, które dochodziły z wszystkich stron. Obawiali się wkroczenia obcych wojsk do miasta oraz upadku odrodzonego państwa. Dlatego też Wybicki i Dąbrowski starali się czynić kroki zmierzające do podniesienia otuchy mieszkańcom Poznania i okolic. Doskonały pomysł wprowadził w życie ten ostatni. Otóż na jego rozkaz ściągnięto z zamku żelazne

armaty pamiętające jeszcze czasy potopu szwedzkiego, powykopywano je z narożników ulic, pomalowano na spiz i osadzono na lawetach. Od tej pory „codzień podczas ćwiczeń pilnie odprawianych”, huk armat dodawał otuchy mieszkańcom miasta i żołnierzom, a osłabiał ducha wroga wieścią o licznej artylerii polskiej.

19 maja pierwsza część nowo sformowanego korpusu udała się w marszu pościgowym od Poznania pod Warszawę i Kraków. Trzy dni później Dąbrowski z pozostałymi oddziałami uzupełnionymi nowo przybyłą jazdą opuścił miasto. Władze administracyjne przystąpiły następnie do dalszej organizacji oddziałów wojskowych, dostarczając broń, amunicję, żywność i pieniądze jednostkom już zorganizowanym i będącym w boju. Wysiłki te wyczerpały nadmiernie zasoby materialne oraz osobowe Poznania. Józef Wybicki, już po zakończeniu działań wojennych, w czasie normalizowania się sytuacji w kraju, w obszernym sprawozdaniu przedłożonym Radzie Stanu wysoko ocenił zachowanie ludności Poznania, która – jak pisał – z ogromnym poświęceniem znosiła trudy wojny.

Powstanie poznańskie, szybko zorganizowane dzięki postawie Wybickiego, generałów Dąbrowskiego i Kosińskiego oraz wielu innych osób, zakończyło się sukcesem. W krótkim czasie udało się stworzyć armię powstańczą, która w decydującym momencie pojawiła się na polu walki.

Ogółem z ofiar obywateli departamentu poznańskiego wystawiono trzy bataliony piechoty uzbrojonej i umundurowanej, dwa bataliony strzelców, pułk jazdy i oddział artylerii, razem 4079 głów zdolnego do boju wojska. Wytnik ten jest godny podziwu zwłaszcza, że ludność polska musiała co roku wystawiać rekruta do nowo tworzonych lub uzupełnianych oddziałów wojskowych.

Po upadku Napoleona Wybicki powrócił do Wielkopolski, gdzie spędził ostatnie lata swojego życia. Czytał i studiował dzieje starożytnych Greków, Rzymian i Spartan zachwycając się *virtus* – czyli cnotą, która „jest prawdziwą nagrodą dla człowieka dobrze myślącego”.

Adam KASZUBA
Foto: Zbigniew Szmidt

BIBLIOGRAFIA:

- Chłapowski D., Pamiętniki, cz. I Wojny napoleońskie, Poznań 1899.
Dzieje Śremu, pod red. St. Chmielewskiego, Warszawa – Poznań 1972.
Dziennik Poznański, Nr 22 z 26 stycznia 1878 r.
Pokrzywniak J. T., Józef Wybicki – Polak z rzymskich senatorów, KMP, Poznań 1997.
Wybicki J., Pamiętniki, Przemysły 1883.
Tenże, Życie moje oraz wspomnienia o Andrzeju i Konstancji Zamoyskich, opr. A. M. Skalkowski, Kraków 1927.

Język japoński

(Lekcja 8)

Maj to w Japonii, podobnie jak w Polsce, miesiąc długiego weekendu przypadającego na początek tego miesiąca. Wielu Japończyków wyjeżdża wtedy na wycieczki zagraniczne, których ceny w tym okresie wielokrotnie wzrastają. Nie należą do rzadkości wycieczki typu „Trzy stolicy europejskie w pięć dni: Londyn, Paryż, Rzym”. Można sobie tylko wyobrazić jak męczące są takie wyprawy, kiedy to większość czasu spędza się w samolocie i często brakuje go, aby zwiedzić główne atrakcje miast. Dla Japończyka ważne jest jednak nie tyle to, że „coś zobaczył”, ale że był w wymarzonym przez siebie miejscu. Najważniejsze to spróbować lokalnej kuchni i kupić mnóstwo prezentów dla rodziny, przyjaciół, współpracowników itp. W związku z tym chciałabym w tej lekcji przedstawić Państwu słownictwo związane z zakupami podczas podróży.

Gdzie mogę kupić.....?

...-wa doko-de kaemasu-ka?

Proszę pokazać mi pamiątki z.... ...-no omiyagehin-o

misete kudasai

Proszę pokazać mi...

...-o misete kudasai.

figurki z brązu (laki, porcelany) buronzu (urushinuri,

jiki) - no chokoku

kimono

kimono

maski

omen

obraz malowany na jedwabiu

shiruku-no purinto

szkatułka

tebako

wachlarz

sensu, uchiwa

wyroby z bambusa

takezaiku

lalka

ningyo

zabawka

omocha

plyta kompaktowa

kompakuto-disuku

widokówka

ehagaki

porcelana

jiki

ceramika

toki, yakimono

zegarek

tokei

perfumy

kosui

Czy mogę to przymierzyć?

Kore-o shichaku-shite-mo ii desu-ka?

Ile to kosztuje? Ile płacę?

Ikura desu-ka?

Czy jest coś tańszego?

Motto yasui-no-wa arimasen-ka?

Czy może mi pan to wymienić?

Kokan-shite moraemasu-ka?

Czy mogę prosić o rachunek? Seikyusho-o onegai dekimasu-ka?

Proszę ładnie zapakować

Kirei-ni hoso-shite kudasai.

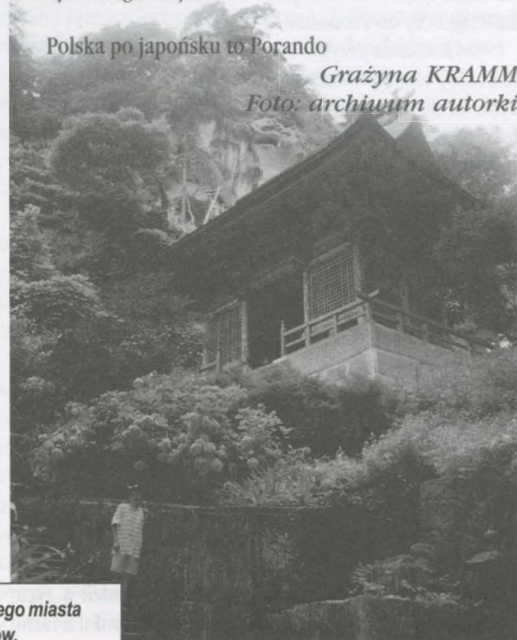
Znaki

Jednym z trzech systemów pisma japońskiego jest katakana, którą zapisujemy głównie nazwy własne - państwa, miasta, rzeki itp. oraz zapożyczenia - głównie z języka angielskiego. Dzisiaj przedstawiam japońską pisownię nazwy naszego kraju.

Polska po japońsku to Porando

Grażyna KRAMM

Foto: archiwum autorki



Yamadera – świątynia położona w górach niedalego miasta Yamagata, miejsce odwiedzane przez pielgrzymów, turystów oraz szkolne wycieczki



Taniec na terenie ogrodu z irysami w mieście Tagajo, wykonywany przez kobiety z okazji święta tego kwiatu. Z okolic przyjeżdżają turyści, aby podziwiać wiele pięknych gatunków irysów zasadzonych na kilku hektarach ogrodu w centrum miasta.

Typowa japońska uliczka w deszczu – prowadzi ona do świątyni Zenkoji, największej świątyni buddyjskiej w Nagano, słynnej w całej Japonii.



Uliczny taniec dzieci w pasażu handlowym w Sendai – ma przynieść pomyślność kupcom.

Femme fatale końca XIX wieku



Dagny Juell Przybyszewska

Dagny Juell Przybyszewska przyszła na świat 8 czerwca 1867 roku w mieszkaniu przy ulicy Kirkegaten w Kongsvinger, małym miasteczku na południu Norwegii. Była drugą spośród czterech córek doktora Hansa Lemmicha Juella i Mindy z Blehrów Juell.

Dzieciństwo i pierwsze młodzieńcze lata Dagny spędziła w Kongsvinger. Dopiero po konfirmacji wyjechała do Erfurtu, aby pobierać nauki prawdopodobnie w Privattochterschule und Erziehungsanstalt mit Pensjonat. W połowie lat osiemdziesiątych dwie z czterech sióstr, Dagny i Ragnhild, wyjechały do Christianii, aby kontynuować lekcje muzyki. Ragnhild uczyła się śpiewu, natomiast Dagny - gry na fortepianie. W Christianii Dagny zetknęła się ze słynną christiańską bohema, której eskcesów - ze względu na młody wiek - była raczej bierną obserwatorką niż uczestniczką. Dagny była drugą spośród czterech sióstr Juell. Pierwsza na świat przyszła Gudrun - piękna i pewna siebie. Jeszcze jako młoda dziewczyna będąc na przyjęciu u króla Szwecji, na pytanie, czy w Kongsvinger jest dużo pięknych dziewcząt, odpowiedziała: „Jesteśmy my cztery”. Natomiast później, już jako mężatka, na pytanie znajomych, czy jest

coś warte obejrzenia w Lund, zwykła odpowiadać: „Tak, katedra i ja.” Druga w kolejności przyszła na świat Dagny, potem urodził się syn Hans Lemmich, który żył zaledwie rok. Czwartym dzieckiem była spokojna i chorowita Astrid, która nigdy nie wyszła za mąż i zamieszkała u boku starej matki. Ostatnia była Ragnhild - ukochana siostra Dagny. W młodości była panią dość buntowniczą i lubiła postawić na swoim. W przyszłości została znaną w Norwegii śpiewaczką.

Edukacją młodej Dagny zajęła się wkrótce Anna Stang, założycielka pensji dla panien w Kongsvinger, do której uczęszczały wszystkie córki Juellów. Anna Stang była jedną z pierwszych norweskich bojowniczek o prawa kobiet i aktywną uczestniczką ruchu feministycznego. Dagny rozpoczęła naukę w 1875 roku, by po sześciu latach ukończyć ją egzaminami do szkoły średniej. W ciągu tych kilku lat Dagny uczyła się takich przedmiotów jak norweski, religia, niemiecki, angielski, historia, geografia, matematyka i przyroda. Jej oceny zanotowane w starym szkolnym dzienniku sugerują, że była dość pilną uczennicą.

Na przełomie 1892 i 1893 roku młoda Norweżka opuściła rodzinne Kongsvinger i przybyła do Berlina, aby studiować w tutejszym konserwatorium grę na fortepianie. W Berlinie widywano ją często w towarzystwie jej rodaka, malarza Edwarda Muncha. Mówiono nawet, że przyjaźnili się nie tylko platonicznie. Wiosną 1893 roku Munch wprowadził ją do grona byłowców berlińskiej piwiarni „Pod Czarnym Prosiakiem”, którą na swoją siedzibę obrał wielbiony przez cyganerię August Strindberg. Podstarzałemu amantowi wpadła w oko młoda, gibka dziewczyna. Coś niedobrego zaszło jednak między nimi, ponieważ po krótkim okresie zachwyty nad piękną Norweżką Strindberg zaczął ją szkalować w tak niewybredny sposób, jaki nie przystoi nawet prostemu szwcowi, a co dopiero literatowi. Odtąd do końca jej i swojego życia Strindberg pastwił się nad nią nie tylko w prywatnej korespondencji.

„Pod Czarnym Prosiakiem” bywał również mało jeszcze znany młody polski literat rodem z Kujaw, o trudnym do wymówienia dla obcokrajowców nazwisku - Stanisław Przybyszewski. Trudno powiedzieć, co popchnęło ku sobie tych dwoje. Zaledwie po kilku miesiącach znajomości Dagny Juell i Stanisław Przybyszewski pobrali się 18 sierpnia 1893 roku w Berlinie. Pobrali się, bo – jak twierdziła Dagny – mieli tego dnia jedną markę, zaś urząd stanu cywilnego kosztował właśnie jedną markę.

Nietypowe były także zaręczyny tych dwojga. Jak głosi plotka odbyły się one w Rolighed, gdzie rodzice Dagny zaprosili całą rodzinę na wieczerzę, by poznała tego artystę z dalekiej Polski, który miał zostać mężem ich pięknej córki. Zeszli się patrycjusze norwescy, bardzo uroczyście się noszący, bardzo starannie ubrani, z tradycjami starej mieszczańskiej kultury i bardzo źle usposobieni do projektu małżeństwa Dagny z człowiekiem, który niczego nie przedstawiał ani ze względu na swą sytuację finansową, ani na tradycje rodzinne. Na domiar złego Przybyszewski się spóźnił i mu-



siano zasiąść do stołu bez niego. Gdy wreszcie zjawił się w stroju nie wieczorowym, z czarnym krawatem fantazyjnie zawiązanym, oburzenie nie miało granic. Przybyszewski siadł koło Dagny i nie mówił do nikogo ani słowa. Atmosfera była coraz cięższa i coraz bardziej dla niego nieprzychylna. Nagle, gdy napełniono już starym winem kielichy, zerwał się i zaczął mówić toast na cześć rodziców, rodziny i tej ziemi, która wychowała Dagny. I o niej samej, o tej, która go łączy ku niebiosom. A mówił tak pięknie i z takim zapalem, że słuchało się tego, co mówił, jak natchnionej improwizacji. Od razu lody pękły. Na twarzy poważnych, dostojnych norweskich Budenbrooków malował się podziw i rozrzewnienie. Gdy polski pisarz przestał mówić, odezwały się entuzjastycz-

ne oklaski. A po wieczerzy Przybyszewski siadł do fortepianu i zaczął grać Chopina, tak po swojemu, jak on tylko umiał. Wtedy zachwyt całej rodziny nie miał granic. Winszowano Dagny, że będzie żoną geniusza. U boku męża Dagny zapomniała o swoich potrzebach. Z godnością donaszała używane suknie, które przysyłała jej wspałałomyślnie starsza siostra, ponieważ Przybyszewski nie uważał, by choć część pieniędzy, których i tak mieli mało, należało wydać na damskie stroje. Jednak nie bieda i brak stabilizacji wydawały się najgorsze w pierwszych miesiącach ich małżeństwa. Dagny mogło niepokoić coś innego – wciąż niezakończony, pomimo ślubu z Dagny – romans Przybyszewskiego z Martą Foerder.

Marta była dawną uczennicą Przybyszewskiego, która odnowiła z nim znajomość w Berlinie. Podobno od

dawna durzyła się w byłym nauczycielu. Dlatego też, kiedy w dniu imienin Stanisława odwiedziła solenizanta w jego mieszkaniu, przynosząc ze sobą butelkę wina, pozostała lokatorką tegoż mieszkania aż do samobójczej śmierci. Była prostą dziewczyną, bez pa-

mięci zakochaną w Przybyszewskim. Cierpliwie znosiła biedę, jego wieczną nieobecność i kolejne cięższe, które przynosiły na świat owoce ich związku. Nawet ślub Przybyszewskiego z Dagny nie był dla Marty przeszkodą, by wiernie jak pies oczekiwać samotnie co wieczór na przyście ukochanego. Co dziwniejsze, Przybyszewskiemu małżeństwo z Dagny również nie przeszkadzało w utrzymywaniu zażyłości z Martą. Stanisław utrzymywał, że wiąże go z Martą jedynie dzieci, do których wychowania zbytnio się zresztą nie przykładał. Faktem jest jednak, że trzecie dziecko Marty i Przybyszewskiego zostało poczęte, gdy Stanisław był już szczęśliwym małżonkiem.

Romans ten nie zakończyłby się chyba nigdy, gdyby nie desperacki krok Marty, która w czerwcu 1896 popełniła samobójstwo. Historia życia i śmierci Marty Foerder wydaje się być tragedią nie mniejszą niż losy Dagny Juell. W dwa lata po ślubie w życiu Dagny pojawił się inny mężczyzna, do którego miłość była chyba nawet silniejsza niż do Przybyszewskiego. Mężczyzną tym był Zenon, jej syn. Zenon urodził się w Kongsvinger, w zaciszu domowym, w którym Dagny jak zwykle znalazła pomoc i opiekę. Była chyba jedną z najniezwyklejszych matek na świecie. Warunki finansowe, niestabilność materialna i brak własnego domu w prawdziwym tego słowa znaczeniu sprawiły, że młoda kobieta bardzo często musiała zarówno Zenona, jak i urodzoną w 1897 roku córkę Iwi zostawić w Norwegii pod opieką rodziców. Jej miłość do męża staczała ciągle batalie z uczuciem macierzyństwa i najczęściej je wygrywała. Dagny, gnana tęsknotą ruszała w podróż do męża, zostawiając dzieci rodzinie. Po kilku miesiącach zaś tęsknota za dziećmi stawała się tak nieznośna, że Dagny opuszczała Przybyszewskiego i jechała do Norwegii. I tak do końca jej krótkiego życia. Jej nieszczęściem było to, że tak jak zapewne każda kobieta, chciała zapewnić swoim dzieciom normalny dom i nie miała możliwości, by to zrobić. Z trudem zdobyte pieniądze szybko znikwały, najczęściej wydane przez Przybyszewskiego na alkohol. Sama często nie dojadając nie potrafiła zapewnić dzieciom nawet należytego wyżywienia. Gabriela Zapolska wspominała, że gdy przyszła któregoś dnia z wizytą do Przybyszewskich zastała w salonie całe grono dekadentów, zaś w kuchni bose dziecko jedzące chleb z masłem. Dlatego za lepsze wyjście z sytuacji uznała Dagny czasowe oddanie dzieci pod opiekę jej rodziny.

Dagny zawsze solidaryzowała się z Przybyszewskim. W każdej, nawet najgorszej sytuacji starała się być u jego boku. Kiedy Przybyszewskiego sprowadziła do Berlina wieść o śmierci Marty Foerder, Dagny pospieszyła za nim jak tylko mogła najszybciej, by wesprzeć go duchowo w tych trudnych chwilach. W listach do rodziny i przyjaciół nigdy nie skarżyła się na niezaradność życiową męża i jego nałóg. Przeciwnie, zawsze starała się postawić go w jak najlepszym świetle. Wybaczała mu wiele jego afer miłosnych - życie z Martą Foerder, romans z Mają Collett Vogt, flirt z krakowską aktorką Natalią Siennicką, aferę z Anielą Pająkówną i ten najtragiczniejszy romans - z Jadwigą Kasprowicową. Początkowo nie wytrzymała tej zdrady i porzuciła Przybyszewskiego. Ale pod wpływem

namów rodziny i zapewne też z własnej woli ratowania rozpadającego się związku próbowała ich na nowo połączyć. Zaś jeszcze przed rozstaniem pisała do niego pełne miłości listy: *Najdroższy, najdroższy. Błagam Cię, nie bądź smutny i przyjeżdż do mnie, jak tylko będziesz mógł. Czekam Cię z otwartymi ramionami, tęsknię za Tobą i kocham Cię. Twoja Ducha.*

Jeżdżąc po Galicji z odczytami na temat sztuki, Stanisław poznał we Lwowie żonę swojego przyjaciela, poety Jana Kasprowicza - Jadwigę. Dla niej porzucił towarzystwo Dagny, zmuszając ją tym samym do szukania schronienia w ramionach kochanków. Wielu było chętnych, aby otoczyć opieką panią Przybyszewską. Także młody student medycyny Tadeusz Żeleński - wówczas jeszcze nie Boy - był jednym z tych, którzy nie potrafili oprzeć się urokowi norweskiej piękności. W 1901 roku z jednym z adoratorów Dagny wyruszyła w swoją - jak się wkrótce okazało - ostatnią podróż do Tyflisu. Jej towarzyszem był emocjonalnie rozchwiany młodzieniec Władysław Emeryk. Po kilkunastu dniach pobytu w gruzińskim hoteliku w Tyflisie w wieku niespełna 34 lat Dagny Juell Przybyszewska zginęła z rąk zakochanego w niej studenta, który zastrzeliwszy ją, sam odebrał sobie życie.

Zamiłowanie do sztuki Dagny Juell przejawiała od wczesnej młodości. Studiowała grę na fortepianie u znanych norweskich nauczycieli. Dla przyjemności zajmowała się też rysunkiem - delikatną kreską rysowała pejzaże rodzinnego Kongsvinger. Muzykowanie, będące w młodości jej główną pasją z czasem ustąpiło miejsca twórczości literackiej. Wybitną pianistką Dagny Juell nie została nigdy, świat nie uznał jej też za wybitną pisarkę. Może niesłusznie? Muzyka była jej pasją i o nią właśnie zazdrośni był Przybyszewski. Grała najczęściej rodzimych kompozytorów, zwłaszcza Griega. Przybyszewski, mimo że sam był bardzo żywiołowym interpretatorem Chopina, prawdopodobnie nie potrafił zrozumieć jej miłości do muzyki. W króciutkim poemacie prozą *Oh, la tristesse de tout cela, mon âme!...* Dagny maluje taką scenę: *Ona stoi przy fortepianie i śpiewa, on siedzi wygodnie oparty i słucha. Kobieta śpiewa w uniesieniu, „czuje, wie, że do nagości wyśpiewała całą swoją duszę.” Zaś mężczyzna komentuje to: „Śpiewałaś znakomicie (...) tak dobrze nigdy jeszcze nie wzięłaś tego G.*

Z miesiąca na miesiąc własne kontakty Dagny z muzyką zaczęły ograniczać się jedynie do sporadycznie

udzielanych lekcji. Jednym z powodów był na pewno niedostatek, który nie pozwalał często na posiadanie instrumentu. Z drugiej zaś strony, Dagny mogła zrezygnować z kariery artystycznej, mając świadomość, że nigdy wielką artystką nie będzie. Odtąd fortepian stał się jej po-wiernikiem, jemu to zawierzała swoje troski. Mówiła mało, o wiele chętniej wyrażała swoje uczucia grając na fortepianie. Gdy któregoś wieczora grała nastrojowe melodie ze swojej ojczyzny, jej syn, trzyletni wówczas Zenon, zapytał: „Mamo, jakimi ty łzami płakałaś?”

Wreszcie Dagny sięgnęła po pióro. Na początku pisała tylko dla siebie - już od pierwszych miesięcy małżeństwa zaczęła prowadzić pamiętnik. Nie dochował się on do naszych czasów, o jego istnieniu wiemy z korespondencji Lidforssa adresowanej do Augusta Strindberga. Niedługo potem Dagny zaczęła parać się literaturą bardziej poważnie. W kolejnym liście do Strindberga Lidforss pisze: *Juell zaczęła tworzyć: pisze nowele o miłości, porubstwie, morderstwie i innych niecotach; najsmulniejsze w tym wszystkim, że Polska (Przybyszewski) twierdzi, iż to jest dobre*. Wiele prawdopodobne jest to, że Dagny Juell chciała wyrazić siebie poprzez to samo medium, jakiego używał jej mąż. Porównując twórczość małżonków Przybyszewskich można zauważyć, że Dagny czerpała podstawowe tezy dramatyczne - dwoistość natury, budowanie i niszczenie miłości erotycznej - z teorii Stanisława. Zapewne Dagny chciała dorównać kroku swojemu mężowi. Zajęła się więc literaturą na dość szerokiej niwie. Oprócz prowadzenia pamiętnika, pisania dramatów i poematów prozą parała się także pracą tłumaczką. Przetłumaczyła na norweski sztuki Przybyszewskiego, a także na niemiecki dramat Sigbjorna Obsterfelda *Liv*. Była też poetką - autorką czternastu nietłumaczonych dotąd przez Polaka liryków.

Utworem, który powstał najwcześniej, jest *Rediviva*. Utwór powstał w grudniu 1893 roku, zaś jego mrocznym tematem jest śmierć pewnej kobiety. Była ona wcześniej związana z ukochanym bohaterki, a teraz, po swojej śmierci przesładuje tę parę. Nikt, żadnym czynem nie spowodował śmierci tej kobiety; umarła, ponieważ oboje tej śmierci pragnęli. Umarła kobieta odwiedza co noc naszą bohaterkę. Nie czyni jej nic złego, nie próbuje odebrać jej życia, ale zamienia je w koszmar. Napisana na trzy lata przed samobójczą śmiercią Marty Foerder *Rediviva* była literacką przepowiednią tego kosmaru.

Po śmierci Marty jej osoba wzorowana na niej ponownie pojawiła się w twórczości Dagny. Będąc w ciąży

i zażywając spokoju i wytchnienia w rodzinnej willi, Dagny Juell pisze kilka drobnych utworów. Jednym z nich jest *Kiedy słońce zachodzi*, króciutka jednoaktówka będąca zapisem lęków młodej kobiety dręczonej przez ducha rywalki. Z Ivi, bohaterki sztuki, powoli uchodzi życie zabierane jej przez nawiedzającą ją zmołę. Ona odbiera jej wszelkie siły vitalne, zabierając jasność Ivi. Ivi odchodzi, a Fin nie potrafi jej uratować - dziewczyna dusi się w objęciach umarłej.

W styczniu 1896 roku Dagny pisze *Silniejszego*, niedrukowany w Polsce dramat. Prawdopodobnie kiepskie warunki materialne sprawiają, że za namową Stacha Dagny stara się o wystawienie swojej sztuki w Teatrze w Christianii, co jednak nie dochodzi do skutku. Zdaniem jednej z badaczek losów Dagny utwór ten należało „określić raczej jako przypowieść”, liczył tylko 10 stron. Maluje tu mękę wyboru u kobiety, kochanej przez dwóch mężczyzn; mąż, człowiek dobry i ufający, że i ona jest dobrą, zdradza ją jednak, bo nie może zapomnieć, że uprzednio należała do kogo innego. Ten drugi, człowiek zły i twardy, zna jej biedną, przewrotną duszę i kocha ją.

Podobny motyw jest tematem sztuki napisanej ponad półtora roku później. Latem, w domowym zaciszu w Kongsvinger powstaje jeden z lepszych utworów Dagny Juell - *Grzech*. Nieszczęśliwa bohaterka *Grzechu* staje się ofiarą miłości, która jest silniejsza od niej. Podobnie rzecz się ma z kobietą, której emocje opisuje Dagny Juell w poemacie *Singt' mir das Lied vom Leben und vom Tode*. Ten obco brzmiący tytuł zaczerpnęła Dagny z jednego z cyklu liryków zaprzyjaźnionego Richarda Dehmila. Poemat jest zapisem przeżyć kobiety, której ukochany zmarł. Gdy ukochany umiera, ona żyje tylko wspomnieniami. Zamyka się w sobie na życie zewnętrzne. Liczy się tylko jej bogaty wewnętrzny świat. Lecz ukochany o niej wciąż pamięta i przyzywa ją coraz gwałtowniej. Dziewczyna biegnie przed siebie gnana jakimś niezrozumiałym pędem. Ukochany nie daje jej spokoju. Przyzywa ją zza grobu siłą swojej miłości. I choć kobieta usiłuje otrząsnąć się ze wspomnień, nie jest jej dane zaznać swobody. Do końca pozostaje opętana miłością ukochanego, od której nie ma wyzwolenia.

Adam Lewandowski

Foto: archiwum

Wykorzystano teksty Haliny Sawickiej - dagnyju-el.interia.pl

Piękno i tradycja zuberskich haftów

Biały materiał, bawełna, igła i ramka, niezwykła cierpliwość hafciarki, jej wrodzone poczucie piękna, które prezentuje oddając na tkaninie urok kwiatów ogrodowych i polnych to jest podstawa zuberskich haftów.

Historia zuberskich haftów sięga przynajmniej początków XIX stulecia, ale starsze hafciarki twierdzą, że w Zubří tradycja białego haftu, haftów mozolnych i subtelnych (delikatnych) trwa od zawsze. Kiedyś haftowały całe rodziny. W 1920 r. nauczycielka Maria Schobrová założyła w Zubří szkołę haftu, w której aż do 1932 roku uczyła dziewczęta haftu błyszczącym jedwabiem na tiulu, batyście lub innej tkaninie.

W zuberskich haftach wykorzystuje się przyrodnicze motywy. Wszystko co rośnie i żyje w koło: ptaki, kwiaty, motyle, muszki, jałowce, gwiazdy, słońce, węże... Maria Schobrová prezentowała zuberskie hafty na wystawach w Pradze, w Wiedniu, w Niemczech, wysyłała je do Londynu i Ameryki. Zadbala o ich rozgłos w świecie. Zuberskie hafty są porównywane do brukselskich koronek i „robiono” na nich wielki interes. Nawet przedsiębiorca Bata zamawiał zuberskie hafty, wykorzystywał je przy produkcji pantofli, a następnie dostarczał filmowym gwiazdom Hollywoodu.

Do dnia dzisiejszego zuberskie hafty są drogie i poszukiwane. Każda gotowa serwetka czy chusteczka znikają natychmiast z rąk hafciarki, niekiedy aż za ocean.

Dzięki zręcznym hafciarkom przetrwały zuberskie hafty aż do dziś. Młodzi ludzie zdobywają tę umiejętność na kursach haftu.

Od 2000 roku kurs haftu prowadzi nauczycielka Maria Pyrchalová.

„Zainteresowanie kursami zuberskiego haftu jest niespodziewanie ogromne” – mówi Maria Pyrchalová.

„Rozpoczynamy prostym haftem, zdobiąc przyrodniczym motywem, kontynuujemy na chustce do nosa bardziej skomplikowanymi motywami. Celem jest uzyskanie czystego, zuberskiego haftu bez obcych elementów. Absolwentki kursu starają się co roku zaprezentować swoje prace w muzeum w Zubří oraz w innych miejscowościach.”

W kursie uczestniczą nie tylko miejscowe kobiety, ale na zajęcia dojeżdżają również z innych miast, często oddalonych od Zubří.

Wyszywa się na batyście najmniejszą igłą z małym oczkiem aby po igle nie pozostawić w materiale dziurki. Nożyczki muszą być spiczaste i ostre. Cierpliwość, setki metrów cienkich białych nici, umiejętność ręcznych prac – tak powstaje zuberski haft.

Haftuje się wszędzie, ale w Zubří jest to autentyczna (rzeczywista) twórczość. Haftowanie po dziś dzień żyje w rodzinach, kobiety uczą się techniki od swoich matek i babć. Miejscowość Zubří jest jedynym miejscem na



terenie Czeskiej Republiki, gdzie po dziś dzień zachowała się tradycja ludowej twórczości. Niezwykle powodzenie miała wystawa zuberskich haftów w 1997 roku podczas prezentacji w Lobkowickim pałacu w Pradze, zorganizowana w prezencie bożonarodzeniowym dla Pragi.

Wystawa ukazała także siłę ludzkiego ducha i ludową umiejętność, które razem z ludzką pokorą, oddaniem, cierpliwością i miłością pomagają stworzyć tak delikatne dzieła zręcznych hafciarek.

Zuberskie hafty prezentowane były dawniej i są prezentowane współcześnie.

W przeszłości hafty na podstawie pomysłu Marii Schobrovej (oryginał był wystawiony na wystawie w Paryżu w roku 1919 i w 1932 r.) hafciarki podarowały prezydentowi Czech T.G. Masarykowi. Na podstawie wzoru podobny haft w roku 1996 wyszyła Jana Juřicová, a Urząd Gminy w Zubří ofiarował go prezydentowi Czeskiej Republiki Václavowi Havlovi.

Richard SOBOTKA

Foto: autor

1. Nauczycielka Maria Pyrchalová i jej zuberski haft.

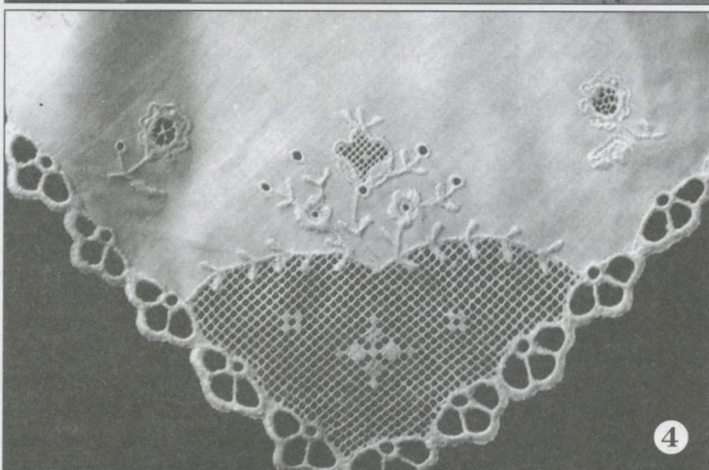
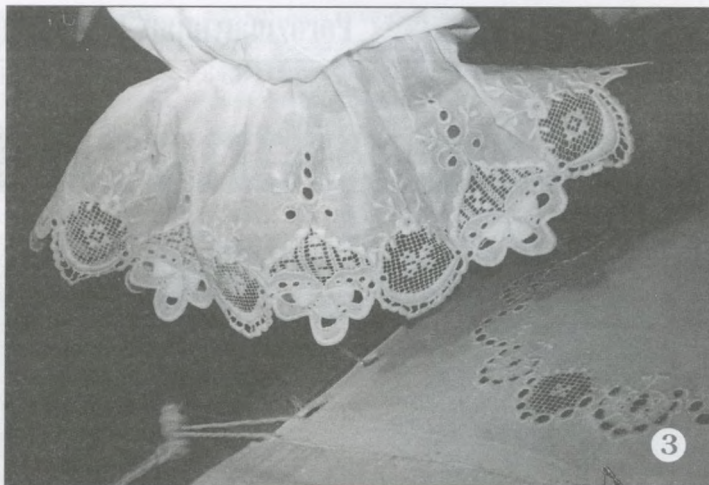
2. Kurs haftu, Maria Pyrchalová doradza uczestniczce kursu w jaki sposób ma upiększyć swoją pracę.

3. Fragment zuberskiego haftu – rękaw.

4. Fragment chusteczki.

5. Pani Anna Zwillingerová (urodzona w 1909 r.), najstarsza zuberska hafciarka.

Muzeum Śremskie zaprasza na wernisaż wystawy: „Piękno i tradycja zuberskich haftów” w dniu 9 czerwca o godz. 15³⁰.



Porozmawiajmy o ... sztuce, czyli kącik jej amatora

Uroki zgubnych nałogów

„...Jeżeli w Stanach Zjednoczonych liczba przedwczesnych zgonów obniżyła się o połowę i dotyczy dzisiaj co dziesiątego mężczyzny, w Polsce zanotowano ponad dwukrotny wzrost. Oznacza to, że co drugi mężczyzna w sile wieku skazany jest na przedwczesną śmierć z powodu palenia tytoniu”

prof. dr hab.med. Jerzy Woy-Wojciechowski

„Poczytanki zdrowotne, czyli grunt żebyśmy zdrowi byli” wyd.1998r.

Fajki, nikotyna, papierosy... jak to się zaczęło? Dość niewinnie i całkiem niedawno. Odkryto właśnie Nowy Świat, znaleziono drogę morską do wschodnich Indii i jak grzyby po deszczu powstawać poczęły kolonialne plantacje, a z nimi kolonialne fortuny. Na początku XVII wieku do używek wcześniej znanych w Europie, jak: herbata, czekolada (nie mówiąc o starożytnym wynalazku - alkoholu), dołączyły kawa i tytoń. Prawda, że niedawno? Scena, gdy na polu grunwaldzkim, po bitwie król Jagiello dla odprężenia sięga po papierosa, była niemożliwa. Z tej prostej przyczyny, że nie znano tytoniu jeszcze dwa stulecia przedtem.

Zagrożenie dostrzeżono wcześniej. Już w 1622 roku czcigodny Johannes Neander wydrukował w Lejdzie obszerną monografię: „Tabakologia”. W wiekopomnym, pionierskim dziele śmiało zdemaskował podstępną używkę. Wykluczył jej lecznicze działanie. Udowodnił szkody jakie wyrządza ludziom młodym, „sokom w mózgu” i że pokrywa obydwa płuca ohydłą sadzą. Odrażający nałot widać było wyraźnie, gdyż sekcje zwłok ludzkich stały się wtedy bardzo popularne.

Jan Havickszoon Steen urodził się w ciekawych czasach wojny trzydziestoletniej i w ciekawym miejscu - w

Lejdzie. Został obdarzony talentem malarskim oraz zmysłem obserwacji: żywiołowym i precyzyjnym jednocześnie. Syn piwowara, dzierżawił browar w Delft. Kiedy zdolności i wytrwała praca sprawiły, że został przewodniczącym malarzkiej gildii św.Łukasza, zakupił i prowadził z powodzeniem dużą oberżę. Kawiarniany interes rozwijał się doskonale i nie tylko zabezpieczał materialnie liczną rodzinę malarza, ale dał Steenowi okazję do stworzenia rodzajowych obrazów najwyższej marki.

Wnętrze tawerny. Jest wczesne popołudnie w Delft. To rodzinne spotkanie. Malarz siedzi przy oknie, w kącie rozległej izby. Ubrany jest w zabawny strój króla zapustów.



Jan Steen (1625-1679) „Portret rodziny malarza”

Czapka na głowie przypomina olbrzymi ogórek. Rozgrzany winem uśmiecha się dobrodusznemu słuchając babki. Ta, po przeciwnej stronie stołu zastawionego owocami i ostrygami, czyta z szelmowskim uśmieszkiem rubaszne teksty. Słuchając jej, podchmieleone towarzystwo co chwila zanosi się śmiechem. Młoda kobieta trzymająca na kolanach niemowlę skończyła karmienie. Może teraz uważniej przysłuchać się. Inna dziewczyna, chyba ciężarna wzniosła szklany kie-

lich w górę, aby kelner nalał do pełna czerwone wino. Pod ścianą widzimy kobziarza. To on napełnia izbę, już prze-

cież huczącą od głośnych rozmów i śmiechów, dodatkowym jazgotem przekornej muzyczki. I jeszcze to „najgorsze”: podchmielony kawaler w strojnym kapeluszu uczy chłopca, jak zaciągnąć się głęboko fajką. Nieźle się bawi widząc niezdarność i kasłanie ucznia. W półcieniu dostrzegamy małą dziewczynkę podziwiającą te wysiłki. Są i zwierzęta. Czerwona papuga i pies odzywiają się co chwila. Panuje gwar, ruch i radość wspólnego biesiadowania. Grunt to rodzinka. Ot - kawalek prawdziwego życia, doskonale namalowany.

Przez okno wlatuje spora cegła. Druga przybyła nieco wcześniej, zanim spojrzeliśmy na męczyznę siedzącego blisko nas. Teraz - z szeroko rozłożonymi rękoma, straciwszy równowagę i zapewne przytomność przewracając się do tyłu. Siwa peruka pociągnięta impetem ceglanego pocisku opuszcza śpiesznie jego głowę. Nikt z licznie zgromadzonych nie za-



William Hogarth (1697-1764) „Wybory - obraz I” fragment

uważyl jeszcze natchnionego gestu trafionego nieszczęśnika. Jesteśmy świadkami mitingu wyborczego. Konserwatyści rzucają z podwórza, na oślep niebezpieczne przedmioty. W sali bankietują liberałowie, ich polityczni przeciwnicy. Stłoczeni wokół stołu są zajęci jedzeniem, rozmową lub swoimi kłopotami. Mężczyzna na pierwszym planie został niedawno ranny w głowę. Spolegliwy sąsiad zakłada mu opatrunek wzbogacony jałowością. Pacjent leczy się tym lekiem także wewnętrznie. Upiorni muzycy, z pewnością dobrzy fachowcy grają zawzięcie. Przezornie ukryli się za węglem. Postacie rysowane są z niebywałym humorem, werwą, bezlitosną pasją, ale też z... wielką miłością do nich. Portrety są pełnokrwiste, autentyczne. I znów, jak u Steena widzimy hałas, rozgardiasz, alkohol, tytoń, dyskusje, śmiechy i płacze. Podpatrujemy prawdziwe życie najbliżej, jak można.

William Hogarth malował serie obrazów, jakby przezuwając powstanie filmów dokumentalnych, komiksów,

krótkich form filmowych. Wczesną młodość spędził w otoczeniu więziennych murów. Towarzyszył ojcu, gdy ten odbywał karę za długi. Poznał ludzi półświatka i piękno istniejące mimo najgorszych warunków. Chyba już wtedy postanowił przemawiać szczerze. „Kierowałem myśl na nowoczesne tematy moralne, ku dziedzinie, której nie dotykano...w tych kompozycjach tematy które dają rozrywkę i zarazem udoskonalają umysł mogą mieć jak naj-

większą użyteczność społeczną...” powie wiele lat później.

„Pokażę Wam jak jest. Jak być powinno wymyślcie sami. Może ktoś z was wie, jak zmienić ludzi na lepszych?” - Sądzę, że mniej więcej tak mogli myśleć ci wspaniali malarze i głęboko współczujący ludzie: od Boscha, Bruegela chłopskiego przez Steena i Hogartha, Daumiera...

Wiele zmieniło się w świecie od czasów, gdy powstawały pierwsze kawiarnie, a czcigodny Neander rozpoczynał syzyfową walkę z nikotynizmem. Dzisiaj do uży-

wiek dołączyły narkotyki - Extase, Heroina... i znamy już dramaty bywalców nowoczesnych „tawern” (są takie nieopodal Śremu również).

Co jest wartościowe dla sztuki - malowanie ideału czy pokazanie człowieka, jakim jest naprawdę? Rozstrzygajcie Państwo sami. Sądzę, że dla świadomości zagrożeń i naszych ograniczeń dobra sztuka rodzajowa zawsze miała i ma znaczenie zasadnicze.

Grunt żebyśmy zdrowi byli !

Ryszard Zawadzki
Foto archiwum

Stały apel do czytelników:
Prosimy - piszcie do redakcji, przysyłajcie wasze opinie i dokonania twórcze.

Adres redakcji: Muzeum Śremskie
ul. Mickiewicza 89
63-100 Śrem

Majka Serafin, czyli kobiecość promieniująca

Majka Serafin na pewno nie jest postacią tuzinkową. Jeszcze dzisiaj potrafi spać konia i przeskoczyć wysokiego mężczyznę. A przecież hipika nie jest jej zawodem; uprawia ją w wolnych chwilach, dla relaksu. Równie dobrze jak jeździectwo opanowała gry hazardowe. Nie dajcie się przypadkiem zwieść jej wdziękowi i urodzie. Jeśli nie chcecie być puszczeni w skarpetkach, to nie zasiadajcie z nią do pokera. O kim jest ten tekst? – spyta ktoś. O żeńskim odpowiedniku Jamesa Bonda? Nie, o kobiecie wielu pasji, dla której najważniejsza jest fotografia. Bez zbędnej przesady można powiedzieć, że Serafin urodziła się z aparatem w rękę. Już w szkole średniej prowadziła klub filmowy i jeździła na liczne plenery fotograficzne. (Śmiem twierdzić, że gdyby urodziła się dwadzieścia lat później, byłaby rozchwytywaną modelką, a jej podobizna zdobiłaby okładki czołowych magazynów mody). W roku 1974 była członkiem polsko-niemieckiej ekipy filmowej, która kręciła film „My o was”. W tym okresie zajmowała się przetwarzaniem realnej rzeczywistości, o czym świadczą jej fotoreportaże, a zwłaszcza fotomontaże zamieszczane na łamach „Tygodnia”, „Mojego Świata” i „Sztuki dla Dziecka”. Natomiast zdjęcia o różnorodnej tematyce publikowała między innymi w takich czasopismach, jak: „Moda Top”, „Foto”, „Koń Polski”, „Perspektywy” i „Guitar Player”. Była także komisarzem Międzynarodowego Konkursu Fotografii „Świat

dziecka – ponad granicami, ponad podziałami”, który odbył się w ramach IX Biennale Sztuki dla Dziecka w 1993 r. Dwa lata później zorganizowała warsztaty fotograficzne „Galeria na płocie”.

Chociaż Serafin przez pewien czas trudniła się upowszechnianiem sztuki, najważniejsza dla niej jest fotografia artystyczna. Jej prace dostrzeżono wśród 2000 zdjęć nadesłanych z całej Polski i doceniono na XIV Forum Polskiej Federacji Stowarzyszeń Fotograficznych w Uniejowie, co znalazło wyraz w artykule o jej twórczości w „Foto” 1988 nr 3.

Dzisiaj zajmuje się ona swoiście rozumianym portretem i aktem. Oszczędnie posługuje się światłem. Często korzysta z efektu high-key (wysoki klucz), polegającym na przewadze jasnych tonów i braku głębokich cieni.

Nie portretuje lalek Barbie, lecz osoby z dookólnej rzeczywistości. Jej na pierwszy rzut oka niby-manekiny, niby-maski emanują skrywanymi emocjami: pożądaniem; delikatnym erotyzmem, dostrzegalnym np. w gestach kobiety w kapeluszu przytulającej do piersi i łona trąbkę, co dodatkowo podkreśla zastosowane oświetlenie; zamyśleniem, spowodowanym – jak można domniemywać – zawodem miłosnym. Serafin z wyczuciem operuje efektami warsztatowymi, by – jak rzadko kto – uchwycić rozmaite przejawy kobiecości.

Andrzej HAEGENBARTH

Foto: archiwum

Majka Serafin
FOTOGRAFIA
16.05.2002 – 4.06.2002 r.
Wernisaż 16.05.2002 r. godz. 19⁰⁰



KINO SŁONKO ZAPRASZA w MAJU

KARIERA NIKOSIA DYZMY

3-6.05. piątek-poniedziałek, godz. 19:00

Nikodem Dyźma, utalentowany pracownik małej firmy pogrzebowej, niezrównany mówca funeralny, nie ma zbyt wielkich oczekiwań od życia. Ot, może jakoś się wkręcić do biznesu i zarobić te dodatkowe kilkaset złotych na lodówkę do mrożenia gorzały. Okazja trafia się sama, za sprawą ukradzionego zaproszenia na koktajl dyplomatyczny. Zastawione stoły i cała masa zimnej wódki... tutaj Nikoś czuje się jak ryba w wodzie.

Prod. Polska, czas: 110 min., reż. Jacek Bromski.

Wyst. Cezary Pazura, Anna Przybylska, Ewa Kasprzyk, Andrzej Grabowski.

CROSSROADS – DOGONIĆ MARZENIA

10-13.05. piątek-poniedziałek, godz. 19:00

Film opowiada historię przyjaźni trzech szalonych amerykańskich nastolatków z małego miasteczka, które wspólnie postanawiają wybrać się do Los Angeles. Jedną z nich, Lucy chce uczestniczyć tam w konkursie dla debiutujących wokalistek.

Prod. USA, czas: 94 min., reż. Tamara Davis.

Wyst. Britney Spears, Zoe Saldana, Taryn Manning, Dan Aykroyd.

Z PIEKŁA RODEM

17-20.05 piątek-poniedziałek, godz. 19:00

Ekranizacja kultowego komiksu o angielskim detektywie, który postanawia schwycić sięjącego grozę maniackalnego mordercę – osławionego Kubę Rozpruwacza.

Prod. USA, czas: 121 min., reż. Alen Hughes.

Wyst. Johnny Depp, Heather Graham, Ian Holm.

AVALON

24-26.05. piątek-niedziela, godz. 19:00

„Avalon” to opowieść, w której mroczna rzeczywistość miesza się z barwnym światem wirtualnym, w którym bohaterowie posiadają nadprzyrodzone zdolności. Scena-

riusz nawiązuje do popularnej w Japonii gry komputerowej pod tym samym tytułem.

Prod. Polska/Japonia, czas: 106 min., reż. Mamoru Oshii.

Wyst. Małgorzata Foremniak, Władysław Kowalski, Bartosz Świdorski.

PIĘKNY UMYŚŁ

27-29.05. poniedziałek-środa, godz. 19:00

Historia genialnego matematyka, laureata Nagrody Nobla, Johna Forbesa Nasha. Jego prace przyniosły mu uznanie i poczytne miejsce w historii. Wspaniale zapowiadający się talent stanął jednak pod znakiem zapytania w momencie, gdy Nash zaczął się bardzo dziwnie zachowywać, wykazując objawy szaleństwa.

Prod. USA, czas: 134 min., reż. Ron Howard.

Wyst. Russell Crow, Ed Harris, Jaennifer Connelly.

TYTUŚ, ROMEK I A'TOMEK W KRAINIE ZŁODZIEI MARZEŃ

31.05.-3.06. piątek-poniedziałek, godz. 17:00

Animowana pełnometrażowa wersja przygód bohaterów popularnego komiksu autorstwa Papcia Chmiela. Tytuso-
wi swojego głosu użyczy Marek Kondrat.

Prod. Polska, czas: 75 min., reż. Leszek Gałysz.

ŚREMSON' 2002 XI Przegląd Piosenki Religijnej

Program:

Przesłuchania:

Przedszkola – 20.05., godz. 10:00

Szkoły Podstawowe – 21.05., godz. 10:00 – cz. I, 22.05.,
godz. 10:00 – cz. II

Szkoły gimnazjalne i ponadgimnazjalne – 23.05., godz.
10:00 – cz. I, 24.05., godz. 10:00 – cz. II

Koncert Gościa – TRZECIA GODZINA DNIA – 24.05., godz.
19:00

Wspólna Msza Św. – 25.05., godz. 10:00

Koncert Laureatów – 25.05., godz. 16:00

Przesłuchania i koncert odbędą się w Klubie Odlewnika,
ul. Staszica 1.



Teodor Stępa
Starosta Powiatu Śremskiego

GAZETA ŚREMSKA - siedziba redakcji - Muzeum Śremskie, 63-100 Śrem, ul. Mickiewicza 89, tel. 061/28 35 938, e-mail: muzeum@nx.pl

Redagują: Mariusz KONDZIELA (redaktor naczelny), Barbara JAHNS (redaktor prowadzący).

Wydawca: Zarząd Miejski w Śremie

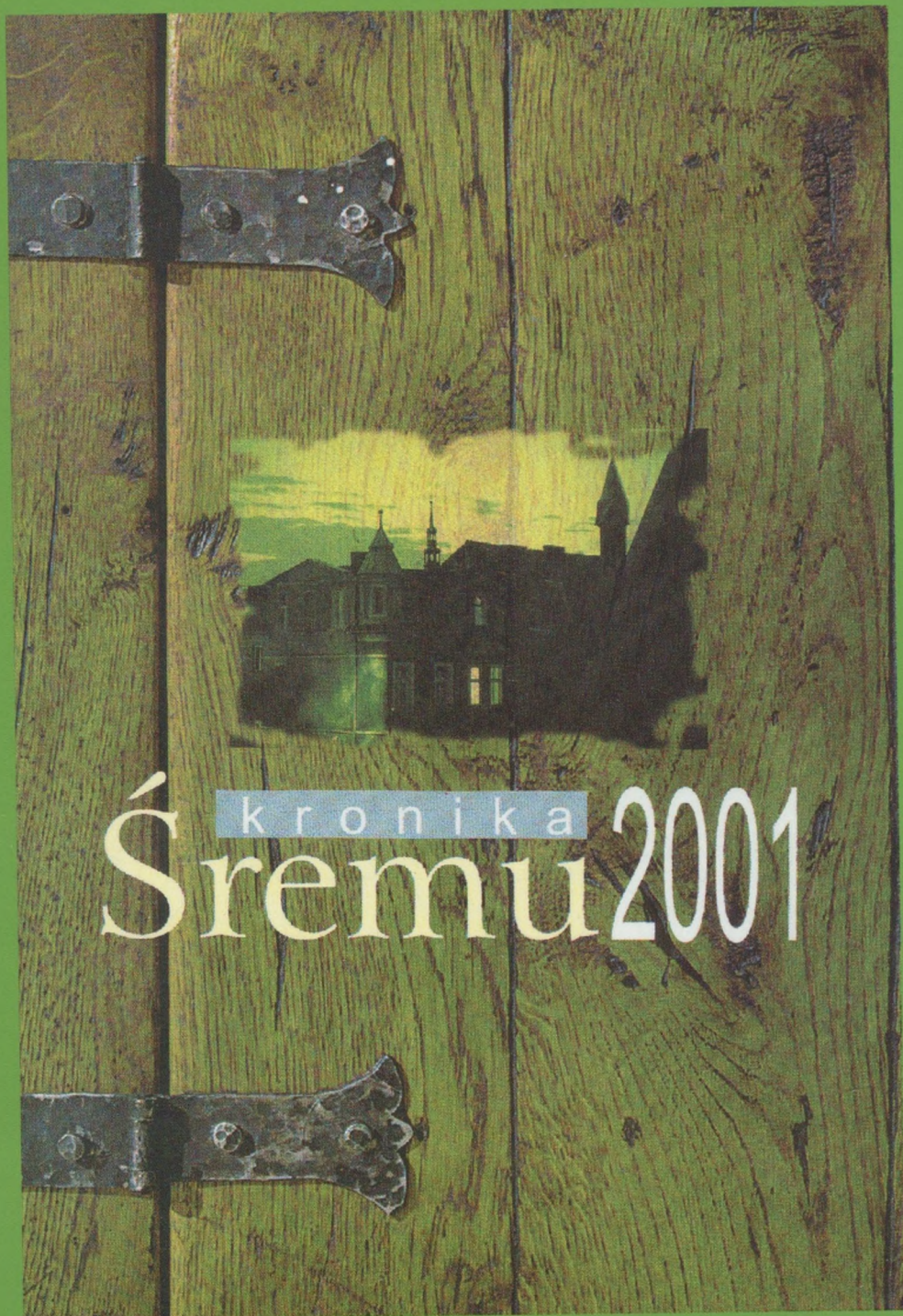
Skład komputerowy, fotonaświetlanie: WIGO, Śrem, tel./fax (061)28-30-216, e-mail: wigo@pro.onet.pl

Druk: S. Tomczak, Śrem, tel. (061) 28-35-068.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam oraz zmiany programów i terminów wprowadzonych po oddaniu numeru do druku.



Šrem i šremianie w Rožnovie pod Radhoštem (01.05-05.05.2002)



Do nabycia w Muzeum Śremskim